

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok 2

Łódź, 17 czerwca 1946 r.

Nr 23 (41)

KONSTANTY GRZYBOWSKI

Albo antydemokratyczny albo niepotrzebny

I.

Niewiele istnieje instytucji ustrojowych, które by powstały tak przypadkowo, jak dwuizbowość parlamentu, a które stałyby się do tego stopnia dogmatem politycznym, przedmiotem ideologicznych sporów. Kiedy w XIV wieku, przedstawiciele angielskiego mieszczaństwa i szlachty połączyli się w jedną Izbę, dziedziczyli przedstawicieli modów arystokratycznych i dostojnicy duchowni zaczęli wspólnie obradować w drugiej Izbie, a wybieralni przedstawiciele duchowieństwa usunęli się zupełnie z parlamentu — nie mogli ani wiedzieć, ani przewidywać, że stworzyli na długie wieki mieszczański ideał parlamentu, że nie cztery izby parlamentu Szwecji, nie trzy izby Stanów Generalnych Francji, lecz właśnie dualizm legislacyjny stał się na długie wieki ideałem.

Stał się nim jednak, ale nie z irracjonalnej chęci naśladowania, choć i ona, w okresie anglosaskiej ustrojowej na przełomie XVIII i XIX wieku, odgrywała swoją rolę. Nie z jakichś przyczyn natury teoretycznej, nie w wyniku racjonalistycznych rozważań, choć i one później starały się stworzyć ideologiczną nadbudowę nad już istniejącym i uznanym faktem. Stał się nim dlatego, że odpowiadał przez szereg wieków ówczesnej strukturze produkcyjnej gospodarstwa warstw społecznych. Odpowiadał — najogólniej rzecz ujmując — podziałowi społeczeństwa na wielkich (duchownych i świeckich) właścicieli ziemskich, opierających swe stanowisko gospodarczo — społeczne na majątkach nieruchomości, zawiązujących swój autorytet tradycją — i na średnią burżuazję wiejską i miejską, opierającą swe stanowisko społeczno-gospodarcze na średnim (i dlatego mniej stałym) majątku nieruchomości, i na majątku ruchomym, a więc na „wolnej” grze sił gospodarczych, zdobywającej autorytet przez zdobywanie stanowiska w życiu gospodarczym (a nie, jak u arystokracji, posiadającej autorytet wskutek posiadania od dawna majątku). Dwuizbowość odpowiadała długo dwójności klas społecznych, jednych — opartych na gospodarce wczesnokapitałistycznej, drugich — opartych w wyższym stopniu na gospodarce typu feudalnego.

Z tego punktu widzenia zrozumieliśmy stąd fakt, że pierwsze próby zlikwidowania dwuizbowości parlamentu w Anglii pojawiają się wtedy, gdy warstwy drobno-mieszczańskie i chłopskie, a także robotnicze, częściowo przedkapitałistyczne w swej strukturze i mentalności, częściowo wczesno-proletariackie, po raz pierwszy walczą o swe miejsce w życiu politycznym Anglii, w okresie rewolucji cromwellońskiej. Armia Cromwella reprezentuje te warstwy, jej postulaty są ich postulatami. Wysuwane przez armię projekty konstytucji Anglii, pierwsze projekty pisanych konstytucji świata, odzwierciedlają ówczesną sytuację społeczną: idzie nie tylko o złamanie przewagi politycznej monarchy, lecz również o złamanie politycznych — a nawet nie tylko politycznych — podstaw przewagi arystokracji i wczesnych warstw wielkokapitałistycznych. Gdy Rainsborough wywodzi, że nie zna żadnego prawa bożego, na którego podstawie lord może wybierać 20 członków parlamentu, gentleman — dwóch, a biedny — żadnego — gdyż żąda powszechnego i równego prawa wyborczego, jednoizbowej legislatury i przewagi legislatury nad władzą wykonawczą — to jest on formalnie wyrazicielem woli mas żołnierskich, faktycznie zaś wyraża wolę tych drobnych rzemieślników, terminatorów, drobnych kupców, dzierżawców rolnych i chłopów, z których się armia składa. Masy zgłaszają się po raz pierwszy z żądaniem władzy. Rozumieją, że władzę da im tylko prawo liczby. Rozumieją, że przeciwstawienie temu prawu jakiegokolwiek inne zasady uczyni ich władzę lu-

zoryczną. Rozumieją, że druga izba musi być zawsze przeciwstawieniem prawu liczby. Dlatego chcą jednoizbowości.

Pierwsza walka o demokrację w Anglii kończy się powrotem rządów arystokratyczno-ziemiankich, przy współdziałaniu wielkiej burżuazji. Postulaty demokratyczne lewellerów cementują ponownie sojusz arystokracji z wielką i średnią burżuazją. — podobnie w wiecie dwa wieki później postulaty jakobińskie we Francji spowodują odrodzenie sojuszu między Kościołem, arystokracją i porzucającą swój wólteerianizm i racjonalizm burżuazją, a po wpływie dalszych trzech ćwierci wieku taki sam będzie skutek Komuny. „Senat” w tej czy innej postaci staje się postulatem „dobrze myślącej” części społeczeństwa. Według Monteskiusza ma on bronić „ludzi wyróżniających się urodzeniem, bogactwem i zaszczytami” przed „zmieszczeniem z ludem”. W pół wieku później, według Beniamina Constant, „pierwsza Izba jest dziedziczna”, gdyż „dziedzictwo jednej klasy zdaje się koniecznym potrzebne jako warownia dziedzictwa każdej rodziny”, pierwsza Izba ma bronić własności przed Izbą „obieralną bezpośrednio przez lud”. Jeszcze w pół wieku później, według Johna Stuartha Mila, „wady zgromadzenia demokratycznego reprezentującego ogół są w ogólności wadami samego ogółu; wady te, to brak specjalnego wykształcenia i wiedzy. Chcąc tym brakiem zaradzić, trzeba zgromadzenie to połączyć z ciałem, którego rysami charakterystycznymi byłyby: wykształcenie specjalne i wiedza. Jeżeli jedna Izba reprezentuje usposobienie ludowe, druga powinna reprezentować wartość osobistą, opartą na oddanych usługach publicznych i praktycznym doświadczeniem stwierdzonym”. A znowu w pół wieku później, uzasadniając dwuizbowość w konstytucji Viktorii (Australii) pisał J. Jenks: „ogólnie biorąc rada ustawodawcza (tj. Izba wyższa) jest organem kapitału, cechy charakterystyczne zgromadzenia ustawodawczego (tj. Izby niższej) czynią z niego reprezentanta pracy. A ponieważ jest oczywiście koniecznym, by każda z tych wielkich części była należycie reprezentowana w rządzie państwem, obecny stan rzeczy jest zadawalającym w pewnym stopniu”.

Dla wszystkich ideologów drugiej Izby, w okresie, w którym szukano dla niej uzasadnienia ideologicznego, uzasadnieniem jej jest przeciwstawienie demokracji, przeciwstawienie ludowi. Przeciwstawienie ludowi przede wszystkim w celu obrony własności prywatnej. Druga izba jest

jednym z tych okopów świętej Trójcy, do których chroni się kapitalizm przed postępującą demokratyzacją społeczną. Pierwszym okopem było cenzusowe prawo wyborcze: tylko posiadacz ma prawo do wpływania na losy państwa. Gdy padł ten okop, gdy prawo wyborcze stawiało się coraz bardziej powszechnym, drugim okopem stała się teoria, że lud powinien się ograniczyć do wyboru ludzi z pewnych klas społecznych i pozostawić im pełną swobodę działania za lud, że tylko „Bildung und Besitz” (jak brzmiała klasyczna formułka niemieckiego liberalizmu XIX wieku) dają kwalifikację do reprezentowania ludu. Gdy padł i ten okop, zwłaszcza gdy wykształceni przestali być posiadającymi a posiadający przestali być wykształconymi, pozostał okop Senatu.

Wtedy jednak zmieniło się jego uzasadnienie. Miejsce jasnego określenia roli drugiej Izby jako obrońcy interesów klas posiadających zajęła mistyfikacja, przybrana w postaci uzasadnienia „technicznego”. Senat — to nie jest wyraz jakiegokolwiek ideologii ustrojowej, to nie jest forma w której wyrażają swój wyraz jakieś konkretne interesy. Senat — to tylko techniczna forma rządzenia, w którą można wlać wszelką możliwą treść polityczną, gospodarczą społeczną, formą ideologiczną — „neutralną” i dlatego czysto techniczną, dlatego do przyjęcia w każdym ustroju.

II

Jedną z form uzasadnienia technicznego jest teza, iż każdy projekt ustawy powinien przejść przez dwa filtry, że dwukrotne rozważanie go przez dwa różne ciała i konieczność zgody obu tych ciał powoła duje, iż ustawy będą bardziej odpowiadające potrzebom społeczeństwa, będą również lepiej pod względem technicznym opracowane. Tak brzmi uzasadnienie potrzeby drugiej Izby. Takie uzasadnienie to typowa dla ideologii ustrojowej końca XVIII i początku XIX w. teoria „hamulców” ściśle związana z liberalnym światopoglądem. Zgodnie z tym poglądem państwo jest jedynie policjantem, który ma pilnować, by „wolna” gra sił gospodarczych, społecznych i kulturalnych nie została zakłócona przez jakikolwiek „przymus”. „Wolna” gra sił jest ideałem społecznym, jedynie ona daje wyniki „sprawiedliwe” i „słuszne”. Policjant — państwo ma jednak zawsze tendencje do wyjścia z roli policjanta — stróża, do czynnego opowiadania się po stronie tych czy innych sił społecznych. Dlatego powinno być skrepowane, dlatego jego działanie powinno być nie tylko

„Czasy wiek z kości słoniowej już minęły, jeśli w ogóle kiedykolwiek miały rację istnienia. Nie ma potworniejszego nonsensu jak oskarżenie klerka o zdradę, gdy stara się myśl swą przemienić w rzeczywistość, gdy wypelnia całkowicie swą ludzką powinność”

Jerzy Teissier

kontrolowane, ale i utrudniane. Dlatego powinna być utrudniana działalność ustawodawcza państwa, dlatego władza ustawodawcza powinna być podzielona między różne czynniki, zwłaszcza między dwie izby, gdyż tylko współdziałanie różnych czynników daje względna ustawę i gwarantuje, że ustawa nie będzie zbyt-kiem i niepotrzebnym skrepowaniem „wolności” jednostek.

Stanowisko to jest pozornie neutralnością państwa, — zasadą przyjętą w celu utrudnienia ingerencji ustawodawczej państwa i środkiem dla zabezpieczenia realizacji tej zasady. Ale tylko pozornie. Faktycznie neutralność państwa w połączeniu z tezą, iż państwo przestrzega nienaruszania „wolnej” gry sił oznacza uznanie i ochronę przez państwo istniejącego układu sił; każde utrudnienie zmiany ustawodawstwa oznacza utrudnienie wszelkiej zmiany tego układu sił — a w XIX wieku oznacza to stabilizację gospodarczą, polityczną, społeczną i kulturalną przewagi burżuazji. Wszelki hamulec jest czynnikiem konserwatywnym, to znaczy utrudnieniem zmiany. Jest wzmocnieniem pozycji tych klas społecznych, tych grup politycznych, które dotąd miały przewagę — choćby tę przewagę już straciły w Izbie powszechnego i równego głosowania a więc w opinii publicznej. Dwuizbowość jest — negatywnie — hamulcem zmienności, pozytywnie zaś stabilizacją istniejącego stanu faktycznego. Ponadto często bywa hamulcem działalności parlamentu w ogóle. „Zadne rezultaty, spóźnione rezultaty albo fałszywe rezultaty są wynikiem tego złe urządzonego, pseudoamerykanizmu” pisał o francuskiej dwuizbowości radykał mieszczański Alfons Aulard. A umiarkowany socjalista, Leon Blum, dodawał: „przypomnijcie sobie serię projektów i raportów, nieustanny szereg debat przerywanych i ponawianych, kolejność podróży między Senatem a Izbą Deputowanych... W obecnym stanie rzeczy Senat nie potrzebuje nawet odrzucać tekstów, które mu się nie podobają, wystarczy, jeśli je pogrzebie nie zatwierdzając ich”. We Francji w okresie walki konserwatywnego i monarchistycznego prezydenta Mac Mahona z republikańską większością Izby Deputowanych, Senat stał po stronie prezydenta i doprowadził do kryzysu na stanowisku głowy państwa i kryzysu ustrojowego; w okresie sprawy Dreyfusa stał po stronie antysemityzmu i po stronie kłamstwa jako metody „obrony honoru armii”, doprowadzając do ostrego i długotrwałego kryzysu wewnętrznego; w roku 1936 obalił rządowe projekty reformy gospodarczej, reformy społecznej i reformy finansowej, likwidując podstawy przygotowania państwa do wojny. W Anglii Izba Wyższa uniemożliwiała w początku XIX wieku przez lat 30 reformę wyborczą, nim się ugięła i doprowadziła Anglię prawie do stanu wojny domowej; na przełomie XIX i XX wieku uniemożliwiała przez lat 30 załatwienie sprawy Irlandii i na niej w dużej mierze spoczywa wina obecnego stosunku Irlandczyków do Anglii; zaś w latach 1910—1911 zmusiła rząd do trzykrotnego rozwiązania Izby Gmin, zanim ugięła się przed koniecznością i przystąpiła na okrojenie swych uprawnień. „Hamulec” nie rozładowuje konfliktów, a jedynie rozciąga je na długie lata, czyni je chronicznymi — by się w końcu ugiąć przed wolą powszechnego głosowania. Ale skutki tego, że konflikt wewnętrzny staje się chronicznym, zostają.

Dwie Izby — to bezczynność, a w każdym razie zahamowana aktywność parlamentu. Stanisław Thugutt jeszcze w roku 1920 pisał: „Ale w Polsce nie tylko potrzeba dobrych ustaw, Polsce potrzeba ich śpieszno. Państwo, które się dopiero buduje, które musi doganiać inne państwa, ma przed sobą całą górę roboty i ta robota nie może być odkładana”. Wtedy zaś

Z SATYRY FRANCUSKIEJ



Honoré Daumier: Senat.

wtórował mu obecny minister administracji publicznej Władysław Kiernik: „Senat stwarza fikcję podwójnej woli narodu, tego jedynego źródła władzy ustawodawczej. Jak jeden jest naród, tak jedną jest jego wola, która musi się wyrazić w ustawodawstwie sejmunoizbowego”.

Co więcej — w razie konfliktu między dwoma izbami powstaje prawie zawsze w praktyce trzecia izba. Gdy jedna izba odrzuca projekty ustawodawcze drugiej izby, jedynym praktycznym rozwiązaniem jest uzgodnienie ich stanowiska przez wspólne, niejawnie działające komisje. Gdy Nebraska (Stany Zjednoczone) znowiła w roku 1937 drugą izbę, ten argument przeważał: chciało skończyć z tym „nie-demokratycznym i nieamerykańskim sposobem postępowania”.

Druga Izba jako „hamulec” pierwszej prowadzi do bezczynności parlamentu lub do załatwiania spraw na tajnych, przez konstytucję najczęściej nieprzewidywanych komisjach. Bezczynność parlamentu prowadzi do konieczności pełnomocnictw ustawodawczych dla władzy wykonawczej, a od pełnomocnictw do dyktatury egzekutywy droga nie jest zbyt daleka. Tajność procedury uchwalania ustawy zrywa kontakt ustawodawcy z ludem, reprezentanta z reprezentowanym, prowadzi do oligarchii.

Drugi argument „techniczny” chce widzieć w Senacie reprezentację różnych grup społecznych. „Społeczeństwo — rozumie się — składa się nie tylko z jednostek, ale i z grup jednostek, które tworzą tyleż elementów specjalnych, różnych od jednostek: gminy, rodziny, stowarzyszenia pracownicze, rolne, przemysłowe, handlowe, naukowe, nawet religijne. Jeśli się chce, by parlament był rzeczywistą reprezentacją kraju, to powinien on być złożony z dwóch izb, z których jedna będzie reprezentowała przede wszystkim jednostki (Izba deputowanych) a druga (Senat) będzie reprezentowała przede wszystkim grupy społeczne” (Leon Duguitt). Ale, pomijając względy teoretyczne, rozwiązanie tego problemu jest właśnie z technicznego punktu widzenia niewykonalne. Problem oszacowania każdej grupy społecznej w stosunku do innych w taki sposób, aby ich wzajemna proporcja w Senacie była „ścisła” jest problemem nierozwiązalnym. Politycznie taka druga izba będzie zawsze parlamentem z pluralnym prawem głosu dla przynależnych do niektórych grup społecznych, pluralność nie będzie być mogła zależna od żadnego obiektywnego kryterium, a więc będzie i niedemokratyczną i opartą na zupełnie dowolnych podstawach.

Trzecim argumentem „technicznym” jest teza, iż druga izba winna grupować „fachowych reprezentantów wielkich organizacji społecznych”. Nie sam fakt podziału społeczeństwa na grupy, lecz fachowy charakter ich przedstawicieli ma decydować. Ale fachowy charakter ciała, obejmującego wszystkie rodzaje fachowości jest fikcją. Reprezentant fachowości gospodarczej w Senacie będzie przedstawiał czynnik fachowy przy ustawach gospodarczych, ale będzie także uchwaliał ustawy sanitarne, społeczne, oświatowe co do których jest takim samym laikiem jak poseł z izby politycznej. Ciało złożone z fachowców, ale decydujące o wszystkim, jak druga izba, nie jest ciałem fachowym. Trzeba by tedy rozbić drugą izbę na tyle odrębnych ciał ile jest odrębnych dziedzin życia i każdej przyznać zakres ograniczony do jednej dziedziny — ale taki podział nie jest technicznie możliwy, tak złożony i skomplikowany parlament nie potrafi funkcjonować.

III.

Sugestię dwuizbowości zrodził fakt, iż dwie wielkie demokracje, amerykańska i francuska, mają (względnie miały) parlament dwuizbowy. Ale czy te państwa są demokratyczne dlatego, że mają dwie izby czy też pomimo tego? Pamiętajmy, że ani twórcy konstytucji amerykańskiej roku 1787 ani twórcy ustaw konstytucyjnych francuskich roku 1875 nie byli demokratami. Twórcy konstytucji amerykańskiej nie chcieli ustroju demokratycznego i nie widzieli w swym dziele realizacji zasad demokratycznych. Przez demokrację rozumieli oni prawo ludu do wykonywania władzy ustawodawczej bezpośrednio, a nie przez wybranych przedstawicieli. Do tak rozumianej demokracji, do bezpośrednich rządów ludu, żyłli głęboką nieufność. Uważali, że nie funkcjonowanie konfederacji amerykańskiej ma swe źródło nie tylko w braku władzy centralnej, ale również — a może przede wszystkim — w przerośnięciu demokracji” (Madison w Konwencji). Że lud nie ma „znajomości spraw państwowych i daje się bezustannie sprowadzać na bezdroża” (Sherman w Konwencji). Dlatego właśnie wprowadzili Senat — hamulec demokratycznej Izby Reprezentantów. Ten zaś z pośród nich który był demokratą, Benjamin Franklin,

SEWERYN POLLAK

MARGARYTA

Na drogach stają i młody
Wiatr ciągnie od Czech, a w południe
Już tylko pomiędzy jody
Schroniły się śniegi i grudnie.

Nad parkiem na górze kościelnej,
Gdzie leżą hrabiowie von Götzen,
Blask słońca w ciszy niedzielnej
Rozjarza się i rozświeca.

I trudno pomyśleć, że tutaj
Tej wiosny tak samo rozkwita
Zielona, nieśmiała ruś
Na grobie, gdzie śpi Margaryta.

Smiertelny to sen. I Faust nowy
Nie zrodził się już. Po raz wtóry
Hrabiankę von Götzen z Kudowy
Strząskane przysięgły marmury.

Lecz niepamiętny i młody
Wiatr ciągnie od Czech i już z h...
Na ciemne wysokie jody
Słoneczne blaski rozpryska.

POWRÓT

Tej wiosny znów wróciła do mnie
Zła gorycz dawnych trudnych lat,
Ale skorupę twardych wspomnień
Roztopia południowy wiatr.

Z pobliskich tuż widać Moraw,
Omywa stoki obłych gór —
A strumień, gdy wiosenna pora,
Zaczyna niepotrzebny spór.

Zbyt dobrze znam ten szmer strumienia
I niespokojne szumy drzew —
Dlatego w kraju tym doceniam
Wiosenny, południowy wiew.

I kiedy patrzę w dół przez drzewa
Na rudo-zielonawy Śląsk,
Czuje, jak dawność mnie owiewa,
W strumieniu promieniami słońca.

ADOLF SOWIŃSKI

WIEŚ ZŁOTA WODA

Wieś Złota Woda jest pod Łagowem,
Jeszczeż szumia gdy poschną dęby,
i koń pozłaca o liść podkową,
wrzes się nie mieści w szrankach poręby,
chata, jaśniejsza od chmur na rzece,
mówi co wieczór: usnij, odlecej;
Lot cie oduczy pragnąć za wiele,
bo da ci wszystko (śpij, odlatuj!);
górze pod słońcem, cis przy kościele,
kuznie u źródła, nikt w niej nie kuje
peki, kowadło, pęd z łby trójcy
przebił je niby grób samobójcy.

BADIAN I-PANNA

Gdy powróciłem dzisiaj na poddasze
pełne księżyc i chleba z badianiem
znów miałem uśmiech i już go nie zgasił
aż mnie opuści seledyn nad ranem
powstrzymywaną długą przystankami
drzew między nami i snu między nami.

Służą mi księżyc, miłość, chleb, ubóstwo
i nocą które zaczynam przy tobie,
Serce jest pełne gdy odrzucasz mnóstwo
i poprzestaje na jednym zasobie,
Po takich myślach już mi nie wstrzania
przyjął seledyn za zwiol do spau.

Pannę wieczorną, chlebnie na poddaszu,
wczas utulona dęś mój rekoma,
zamknawszy oczy jak błysk po palaszu
śpij w seledynie bystro nieruchoma
jako ostatnia z przystankami księżyc,
i chleb i badian który mnie nasyci.

powiadał że: „ciało ustawodawcze podzielone na dwie izby jest jak karetka, ciągnięta przez jednego konia naprzód, a przez drugiego w kierunku wprost przeciwnym”. Jeśli Senat przyjął się w Stanach Zjednoczonych to dlatego, że jest reprezentantem Stanów, to dlatego że reprezentuje lokalną separatyzm, a nie dlatego tylko, by dwuizbowość była ideałem demokracji amerykańskiej. Patriotyzmy stanowe potrzebują i chcą własnej reprezentacji w rządach Unii. Wewnątrz stanów tam, gdzie nie ma poczucia odrębności lokalnej, druga izba nie jest już dogmatem ustrojowym. — stała się problemem politycznym. W roku 1937 rozwiązanie tego problemu rozpoczęła Nebraska, likwidując drugą izbę.

Drugim sugestywnym w oczach zwolenników dwuizbowości przykładem jest Francja III-ej Republiki. Ale przecież demokracja Francja zawsze stała na stanowisku jednoizbowości. Jednoizbowość wprowadziła konstytucja z roku 1791 konstytucja II-ej Republiki z roku 1849. Dwuizbowość została zainaugurowana przez reakcję Thermidoru. Dwuizbowość została wprowadzona przez monarchistyczną większość Zgromadzenia Narodowego w roku 1875. Ta większość nie chciała republiki i demokracji chciała monarchii. Ale była podzielona na legitymistów oleanistów i bonapartystów. Miała trzech kandydatów na monarchę, ale tylko jeden tron do

obsadzenia. Dlatego zadowolili się z konieczności „republiką konserwatywną” tak skonstruowaną, by każdej chwili, przez zmianę dwóch artykułów ustawy konstytucyjnej, można było tę republikę przekształcić w monarchię. Dlatego wprowadziła Senat, „wielką radę gmin Francji”. Dlatego Izbie wybranej w głosowaniu powszechnym przeciwstawiła drugą izbę, wybraną w skomplikowanym głosowaniu pośrednim, dającym przewagę przedstawicielom Gmin małych, ulegających wpływowi miejscowych notabliów tradycjonalistycznych i wielkokapitałistycznych. „Będzie rozsądniej wybrać raczej republikę niż wojnę domową” pisał melancholijnie książę de Broglie, twórca Senatu w konstytucji 1875 r., ale dodawał zaraz „nie można — na rzecz trwałości republiki — poświęcać żadnej z gwarancji porządku”. I dlatego żądał Senatu, „gwarancji porządku”, jako przeciwstawienia demokracji. Uczynił go też zaprzeczeniem równych praw politycznych i Senat takim zaprzeczeniem pozostał mimo wszelkich późniejszych poprawek do ustaw konstytucyjnych III Republiki. Formalnie senatorem mógł być każdy Francuz (z wyłączeniem — jak w Izbie deputowanych — członków rodzin dawniej panujących we Francji, który ukończył 40 lat i używa w pełni praw cywilnych. Prawo wybierania natomiast nie przysługiwało każdemu obywatelowi bezpośrednio, lecz specjalnemu kolegium, w każdym departamencie, który

jest okręgiem wyborczym do Senatu. W skład kolegium wchodził: 1) z urzędu — wszyscy deputowani departamentu, członkowie Rad departamentalnych, Rad okręgowych (arrondissement), 2) z wyboru — delegaci gmin, wybrani z pośród wyborców gmin przez Rady Gminne. Pomieważ i deputowani i radcy generalni i radcy okręgowi i radcy gminni pochodzą z wyborów powszechnych — przeto również wybory senatorów oparte są pośrednio na głosowaniu powszechnym — stąd określenie kolegium elektorów jako „zgromadzenia notabliów powszechnego głosowania”. Ale prawo wybieralności do Rad Gminnych nie było powszechnym: radca w gminie nie może zostać zwolniony od świadczeń na rzecz Gminy lub korzystający z opieki społecznej, a także pracujący w charakterze służby domowej. To wnosilo pierwszy niepowołany i nieegalitarny czynnik do wyborów Senatu. Drugim był rozdział mandatów elektorów z większą między gminy. Każda, nawet najmniejsza gmina miała jednego delegata, największa dopuszczalna liczba delegatów jednej gminy wynosi 24 delegatów (w Paryżu 30 delegatów). Dawano to przewagę gminom małym i średnim: Marsylia ma 24 delegatów na 550.000 mieszkańców, reszta departamentu ma 313 delegatów na 250.000 mieszkańców czyli mając połowę ludności Marsylii ma trzynaście razy tyle delegatów, co to miasto; Lille ma na 200.000 mieszkańców 24 delegatów — a w tym samym departamencie 24 gmin mających łącznie tylko 4.000 mieszkańców miało także 24 delegatów, 12 gmin mających łącznie 6.600 mieszkańców ma 12 delegatów, tych 36 delegatów najmniejszych gmin, 10.600 mieszkańców miało większą wagę przy wyborach do Senatu, niż 200.000 mieszkańców Lyonu. Prawo wybierania do Senatu było skonstruowane skrajnie nieegalitarnie, dawano zdecydowaną przewagę wsi i mniejszym miastom, dawano Senat „chłopski” nie w znaczeniu składu lecz w znaczeniu tendencji, w znaczeniu, czyich interesów Senat przede wszystkim bronił, redukowal reprezentację socjalistyczną w Senacie do minimum (zwykle kilkanaście mandatów, około 5 proc. mandatów, gdy w Izbie deputowanych mieli oni 15—20 proc. ogółu mandatów). Toteż Senat francuski był przez całe dzieje III. Republiki podporządkowany, nawet wtedy, gdy lewica miała zdecydowaną większość w Izbie Deputowanych. Republikanie byli od początku, od r. 1871 przeciw Senatowi. Republikanin Gambetta ostrzegał, by pod pozorem sprzeciwiania się supremacji liczby czyli suwerenności narodu, pod pozorem hamulców i środków oporu przeciw gromadzącemu zawsze nadużyciu władzy, nie organizowano środków konfliktu i nie tworono przyczyn stałego podniecenia. Jeśli zaś nawet z biegiem lat zwrócone przeciw Senatowi stanowisko republikanów amerykańskich z roku 1787 i republikanów francuskich z lat 1871—1875 uległo osłabieniu — to pamiętać trzeba, że u punktu wyjścia, w okresie gdy doktryna republikańska była jasna i konsekwentna pojęcia „Senat i republika” wykluczały się wzajemnie.

Demokratyczne republiki okresu międzywojennego, jak Polska i Czechosłowacja, wprowadzając instytucję Senatu, oparły go na innych zasadach niż dawniej stosowane. Nie uczyniły go reprezentacją pewnych tylko klas społecznych, jak angielska Izba lordów, ani reprezentacją poszczególnych części państwa, jak Senat amerykański, nie oparły go również na skomplikowanym pośrednim i nierównym prawie wyborczym jak Senat francuski. I Polska i Czechosłowacja oparły swe senaty na takim samym prawie wyborczym, co i izby poselskie. Jedna i druga izba była wybierana w powszechnym, równym, bezpośrednim i tajnym głosowaniu, mandaty do jednej i do drugiej izby były rozdzielane wedle tej samej zasady proporcjonalności. Różnicę w prawie wyborczym ograniczali się do wieku wyborców (do senatu nie głosowali i nie mogli być senatorami wyborcy najmłodsi), wielkości okręgów wyborczych (do senatu były większe okręgi) ilości senatorów (była ona mniejsza, niż ilość posłów). Sądono, że w ten sposób zadowolili się oba postulatami, i postulaty by nie było izby niedemokratycznej i postulaty by każdy projekt ustawy był poddany podwójnemu rozważaniu. Przykład polski (także i czeski, choć w mniejszym stopniu) okazał, że żadnego z tych celów nie osiągnięto. Senat mimo tak wielkiego podobieństwa prawa wyborczego okazał się mniej demokratycznym niż sejm, a tak podobny do sejmu był wprowadzicie formalnie demokratyczny, ale za to okazał się niepotrzebny.

Senat był mniej demokratyczny od sejmu i dawał fałszywy obraz układu sił politycznych w Polsce. Mimo tak niewielkich różnic w prawie wyborczym, Senat polski dawał większą przewagę prawnicy społecznej i politycznej, niż to miało miej-

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

NA CAŁY GŁOS

sce w sejmie. W roku 1922 wszystkie stronnictwa lewicy i demokratycznego centrum zdobyły w wyborach do sejmu — 46 proc. ogółu głosów, do Senatu tylko 35 proc., stronnictwa prawicy zdobyły do sejmu 39 proc. ogółu głosów, do Senatu aż 43 1/2 proc. W 1928 r. lewica miała 33 proc. głosów w wyborach do sejmu a tylko 24 proc. głosów do Senatu, prawica 18 proc. głosów — do Sejmu, aż 21 1/2 proc. głosów do Senatu (BBWR. 21 1/2 proc. głosów do Sejmu, 29 proc. głosów — do Senatu). Mimo wielkiego podobieństwa prawa wyborczego — Senat był jednak krzywym zwierciadłem układu sił politycznych w państwie, dając prawicy większy procent głosów, niż w wyborach do Sejmu, wykrzywiając obraz rzeczywistości zawsze na korzyść tylko jednej strony, — prawicy społecznej i politycznej.

I — mimo to — okazał się niepotrzebny. Różnice w prawie wyborczym wystarczyły, by obraz rzeczywistości polskiej w Senacie był fałszywy, nie wystarczyły by Senat był innego zdania, niż Sejm. Założeniem dwuizbowości zaś jest, że każda z izb ma co do rozmaitych spraw inne zdanie, tylko wtedy druga izba może odgrywać rolę korektora lub hamulca pierwszej. Tymczasem, przeszły rok obok były stenograficzne obrady senatu z okresu II-giej Rzeczypospolitej, na próżno szukamy śladów tej różnicy zdań. Na próżno szukamy jakiejś kwestii w której by nastąpiło istotne starcie poglądów między większością Sejmu a większością Senatu. Jedyny poważny konflikt konstytucyjny, jaki wynikł między Izobami odnosił się do tak „ważnej” kwestii jak to, czy Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie ma być szkołą akademicką, czy też nie. Zresztą żadnych poważnych starć, żadnych istotnych różnic zdań, żadnego skutecznego „hamowania”, żadnej własnej, odrębnej od sejmowej, koncepcji w jakiejś sprawie ustawodawczej. Nic więc z tego, co ma być celem drugiej Izby. Ale jeśli druga izba nie spełnia celów, dla których stworzono jej instytucję to jest zbędnym ornamentem ustrojowym: jest niepotrzebna. Jeśli zaś spełnia swe cele, to tylko wtedy gdy jest oparta na niedemokratycznym prawie wyborczym. Zrozumiano to zresztą już dawno. Jeszcze Mathieu de Montmorency w Zgromadzeniu Narodowym 1789 r. mówił: „jeśli dwie izby są tak samo ukształtowane, jedna z nich jest niepotrzebna, gdyż będzie z konieczności tylko biurem pozostającym pod wpływem drugiej. Jeśli ich ukształtowanie jest odmienne i jeśli przyjmuje się koncepcję Senatu, stworzy się arystokrację i doprowadzi do niewoli ludu”. Trzeba tylko wrócić do początków demokracji, by zrozumieć ile niedemokratycznych wtrętów jest w dzisiejszym ustroju, jak typowy dla XIX wieku kompromis między monarchią a demokracją zaważył na naszych przyzwyczajeniach ustrojowych i jak te przyzwyczajenia zaciemniły jasność myślenia, którą mieli republikanscy członkowie Konwentu konstytucyjnego Stanów Zj. 1787 r., członkowie farnuskiego Zgromadzenia Narodowego 1789 r. jakobini Konwentu. Jednym z tych wtrętów jest Senat.

IV.

Ale — powiadają przeciwnicy jednoizbowości parlamentu — parlament jednoizbowy może, nawet musi stać się tyranem. W społeczeństwie, w którym decydującą rolę odgrywają partie polityczne, w ustroju, w którym rząd jest zależny od parlamentu — partia polityczna, która zyska większość w jednoizbowym parlamencie, będzie samowolnie i samowładnie decydować o wszystkim, przez nikogo nie hamowana.

Rozumowanie, w którym tkwi kult dla starej teorii hamulców, ale które nie widzi, że w miarę obumierania dawnych powstają hamulce nowe. Dawnym hamulcem wszechwładzcy izby pochodzącej z powszechnego głosowania była konieczność zgodnej woli drugiej izby i ponadto veto królewskie. Dziś te dwa hamulce znikają coraz bardziej, ale w ich miejsce powstaje nowy. Jest nim wyborca, jest nim ogół ludności.

W erze, gdy panowała wiara w te dawne hamulce — wyborca nie odgrywał żadnej roli. Ograniczony był do tego, że raz na cztery czy na pięć lat wybierał swoich przedstawicieli. Przedstawiciele ci zaś byli „przedstawicielami całego narodu, niezwiązanymi instrukcjami wyborców” jak mówiła formułka prawnicza, mieli „myśleć za swoich wyborców, ale nie ze swoimi wyborcami” jak mówiła formułka polityczna. Izba poselska była w czasie, gdy panowała ideologia tego rodzaju, czynnikiem od nikogo niezależnym. Monarcha i druga izba były jedynymi jej hamulcami.

Dziś sytuacja faktyczna jest inna, inna też jest struktura państwa demokratycznego. Faktycznie dziś poseł jest zależny

Szanowni
towarzysze potomkowie!
Grzebiąc się
w dzisiejszym
mroki naszych dni zgiebiając,
może
o mnie
I być może,
w erudycji swej
że był
i zawzięty wróg
Zdejmij
okulary - rower,
o czasach
i o sobie
Jestem
przez rewolucję
na front poszedł
poezji
— kapryśnej baby.

W jej ogródku ślicznie miło,
grządką w prawo, grządką w lewo,
sama kwiatkiem zasadziła,
sama będąc jej podlewać.
Jeden leży z polewaczki,
drugi kroci z ust swe rymy,
bubki, głupki, przyjemniaczki,
bies nie dojdzie ładu z nimi.
Nie ma na nich kwarantanny,
mandoliną cały dzień:
„Tira-timny, tira-tanny,
te - e - en...”

Niewielki to zaszczyt,
by wśród takich kwiatników
posągi moje wznosili
na skwerach,
gdzie słychać
charchanie gruzlików,
gdzie z nożowcem dziwka
i syfiliś.

Propagit
i mnie
i ja
mógłbym kleić
zyskowniejsze to,
Ale ja
poskramięłam sam siebie
na gardle
Posłuchajcie,
mnie,
agitatora,
Głuszac hałas
depcząc tomy liryk
jasno
chcę
W komunistyczne
nie
jak jesieninowsko - śpiewny bard.

romanse na bopy
przy tym — sława.
i stopę
swej pieśni-m stawiał
towarzysze potomkowie,
przywódcy - gardłacza.
w poetyckim słowie,
— żywy człowiek —
daleko
esteta.

od swych wyborców, a partia polityczna
jest zależna od swych członków i sympatyków.
Faktycznie i poseł i partia są kontrolowani i hamowani przez tę część społeczeństwa, która im okazała swe zaufanie.
Obawa utraty tego zaufania, obawa utraty głosów i mandatów wywiera ten sam wpływ faktyczny, jest takim samym hamulcem, jakim była dawniej obawa odmiennej uchwały senatu, lub weta głowy państwa. Hamulec istnieje, choć mniej sprecyzowany prawnie ale bardziej demokratyczny.

Drugim zaś hamulcem jest włączenie w obręb demokracji reprezentacyjnej szeregu instytucji demokracji bezpośredniej. W państwach o czystym typie demokracji reprezentacyjnej, a takimi były wszystkie państwa XIX w. uchwała obu izb stawała się prawem i żaden czynnik nie miał możliwości sprzeciwu przeciw tej uchwale. Państwa współczesne rozbudowały system referendum. Pewna część wyborców, mniejszość parlamentu może zażądać, by projekt ustawy uchwalony przez większość parlamentu został poddany głosowaniu ludowemu. Lud sam rozstrzyga wtedy, gdy zdaniem mniejszości postępo-

Mój wiersz
przekroczy
ponad głowami
Mój wiersz
— wiem —
niż strzała,
nie tak,
ani jak zmarłych gwiazd
Mój wiersz
widzialny,
tak jak do dziś
które wznosili
W kurhanach ksiązek,
gdy ostrza strof
elastwo to
jak starą broń,
Ja
nie przywykłem
panieńskie uszko,
nie zarumieni się.
Rozwijam wojska strom,
by przejść
A wiersze stoją
gotowe iść po śmierć
Zamarły poematy
tytuły ich
Ta broń,
gotowa śmiało
zastygła
podniósłszy rymów
i wszystkie wojska te,
armie,
co szły
oddaje ci,
Wróg
to wróg i mój.
Nam
lata roboty
My
jak w domu własnym

przez łańcuchy wieków
rządów i poetów.
dojdzie do was,
lecz inaczej,
którą Amor na swych łowach miota,
jak starty grosz
dochodzi do zbieraczy,
doctera światło złote.
wysiłkiem
trwałość swą osiągnie,
ważki,
napór lat przetrzyma,
dotrwały wodociągi,
niewolnicy Rzymu.
które grzebią wiersze,
przypadkiem odnajdzięcie,
z szacunkiem do rąk bierzcie,
lecz jeszcze groźną przecie.

nie przywykłem
ucha pieścić słowem,
wdzięczne i różowe,
zrażone dwuznacznikiem.
do rewii wciąć gotowe.
paradnym szykiem.
ciężkie,
i sławę nieśmiertelną.
— baterie dział zwycięskie,
to lufy nastawione celnie,
co zawsze
była mi najmilszą,
ruszyć w bój
z okrzykiem.
kawaleria żartów,
młęcząc,
wyostrzone piki.
po zęby uzbrojone,
w zwycięstwach długie lata,
moich ksiązek strony
proletariuszu świata.
robotniczej klasy, zawzięty i wytrwały,
i wrogiem pozostanie.
pod czerwony sztandar
iść kazali
i dni niedojadania.
dziś Marxa każdy tom,
przełożył Władysław Broniewski.

okienńce rano,
ale i bez czytania
dokąd należy iść
i z kim do walki stanąć.
Dialektyki
uczyliliśmy się nie od Hegla,
wdzierała się
bojową wrzawą w rymy,
gdy pod kulami
burzuje z pola biegli,
jak niegdyś my,
cofając się przed nimi.
Za geniuszami,
jak żałobna wdowa,
niech idzie sława
w takt żałobnych marszów —
mój wierszu,
zgiń,
a zgiń jak szeregowy,
jak w szturmach
beziemiennie
padło tyłu naszych.

Mam gdzieś
mam gdzieś
Podzielmy sławę
niech wspólny pomnik nam wystawi,
wybudowany
poprawcie,
wypłyną
jak „prostyktacja”,
Dla was,
poeta
z bruku
Z ogonem lat,
połtorów
Cheg,
szybciej
Nie uciulałem
nie przybył
i prócz
nie,
Nad bandą
przed Ce Ka Ka
jako
całe sto tomów
przełożył Władysław Broniewski.

ten bronz,
co na pomniki pójdzie,
marmury,
co byle kpm stawiali,
— toś myśmy swoi ludźle —
w trudzie
socjalizm.
potomkowie,
pływaki swych słowników
z Lety
resztki takich słów,
i „gruzlica”
i „blokada”.

ażeby każdy
był silny, zręczny, zdrów,
wylizywał
ptwociny suchotników
szorstkim językiem plakatu.
stają się chyba kopią
wykopalskowo - ogonlastych.
towarzyszu życie,
celu dopiąć
i w pięciolatce
resztę dni przeszastać.
z wierszy
ani grosza,
w domu
żaden mahoniowy mebel,
wypranej świeżo
koszuli, którą noszę,
szczerze mówiąc,
więcej mi nie trzeba.
poetyckich
owaniaków i grandziarzy
lat jasných.
przyszłości gdy podążę,
legitymację bolszewicką,
wskażę
mych partyjnych ksiązek.

przełożył Władysław Broniewski.

przełożył Władysław Broniewski.

przełożył Władysław Broniewski.

wanie większości jest fałszywe, zaś uchwalone projekty ustaw — złe. Lud sam bezpośrednio jest hamulcem, usuwającym obawę tyranii parlamentu. Związek między coraz większym rozszerzeniem się referendum i coraz większym krytycyzmem wobec dwuizbowości wydaje się istotny. Demokratyczny sposób kontroli i hamowania posłów przez bezpośrednią wolę ludu wypiera coraz bardziej niedemokratyczny sposób kontrolowania i hamowania posłów przez drugą izbę. Zagadnienie dwuizbowości — to konflikt między czystą teorią demokratyczną a wtrętami monarchistyczno - arystokratycznymi do tej teorii. Zagadnienie dwuizbowości — to konflikt między demokratyczną teorią, iż państwo jest także grupą społeczną, realizującą zasadę sprawiedliwości społecznej a liberalną teorią, że państwo ma tylko zapewnić swobodne ramy działania dla „wolnej” gry sił a więc powinno jak najmniej działać i być w tym jak najbardziej hamowane. Zagadnienie dwuizbowości — to konflikt między poglądem, iż należy szybko zaradzać narastającym potrzebom społeczno-gospodarczym a teorią iż potrzeby te mogą poczekać aż zaradzająca im

ustawa będzie naprawdę doskonała. Ale zagadnienie dwuizbowości to coś więcej. To różny sposób patrzenia na człowieka. Przed stu sześćdziesięciu laty amerykański przeciwnik Senatu Jefferson, twierdził że „rzetelny demokrat wierzy, iż większość zawsze wybierze najlepszego na swego reprezentanta”, zaś zwolennik Senatu. John Adams był zdania, że „rzetelny człowiek wie, że większość zawsze wybierze człowieka swego pokroju”. Zwolennik dwuizbowości jest sceptykiem i pesymistą. Wątpi w rozsądek człowieka, zwłaszcza w rozsądek prostego człowieka; dlatego chce mu i jego reprezentantom stworzyć przeciwwagę, hamulec, dlatego chce Senatu, bo nie wierzy w lud i jego wybrańców. Zwolennik jednoizbowości jest optymistą; wierzy, że człowiek, zwłaszcza prosty człowiek, potrafi zrozumieć potrzeby swoje i swojego narodu, potrafi ocenić charakter i wartość tych, którzy mają rządzić w jego imieniu. Rozumie, że nie potrzeba hamulców przeciw ludowi, że najlepszym hamulcem jest doświadczenie ludu i wychowanie go w wolność i demokracji.

Konstanty Grzybowski

MARIA ZAREMBIŃSKA

Opowiadania oświęcimskie

Z i n a

Entlausung—odwznienie

Nowe „pensionariuszki” — przychodziły na nasz blok zwykle po apelu wieczornym. Ich przyście na t. zw. S. K. (Strafkolonne) było przeważnie związane z jakimś przewinieniem na terenie lagru. Prawie zawsze delikwentka przychodziła po przebiegu pierwszej doraźnej kary, to znaczy z popodbijanymi oczyma i w ogóle śladami bogatych środków pedagogicznych jakimi rozporządzały nasze władze z Tauberem t. zw. „dentystą” na czele.

Wchodziły na blok, siadały na pierwszym lepszym miejscu i zaczynały szlochać. Wtedy my (o ile to nie była Niemka) zbliżaliśmy się do niej i zaczynałyśmy pocieszać. Po paru minutach „nowa” uspakajała się i zaczynała pytać: — Czy rzeczywiście jest tu tak strasznie? Czy rzeczywiście praca jest tu tak ciężka? Ile dają zupy i czy to prawda, że się stąd już nigdy nie wychodzi.

Ta przyszła w pewien piękny lipcowy wieczór. Nie płakała, nie widać było nawet na jej twarzy przerażenia. Spokojna, opanowana, podeszła do blokowej i zapytała gdzie będzie jej miejsce do spania. Wyprostowana z wysoko podniesioną głową szła przez blok i zajęła wskazane jej miejsce. Była nieprzeciętnie ładna. Wysoka, o bardzo regularnych rysach twarzy i dużych, niebieskich oczach w czarnej oprawie. Byłyśmy wszystkie zdziwione, że nie płacze i o nic nie pyta. Jej samotność trwała zaledwie parę minut. Kilka Ukrainek i Polek podeszło do niej i zaczęło indagować.

- Ruska?
- Tak.
- Skąd?
- Z Woroszyłowgradu.
- Dawno wzięli?

Poruszyła się niespokojnie, zmarszczyła proste, czarne brwi i odpowiedziała

- Mnie się zdaje, że już dawno.
- A za co?
- Jakto za co — Ruska.
- A tu za co, do nas?
- Nie wiem. Pobili i wsadzili.

Jakimś dumnym gestem podniosła głowę do góry i zamilkła.

— A znak? Jaki masz znak na plecach, to po tym się poznaje za co kara.

Ania siedząca z nią na koi spojrzała na jej plecy. Koło czerwone na białym. — To znaczy, że ty albo ciężko polityczna, albo chciałaś uciekać. Mileżała, nie zmieniając wyrazu twarzy. Ciekawe koleżanki rozeszły się.

Przez kilka następnych dni obserwowałam ją w czasie pracy. Była zawsze jednakowo milcząca, dumnie wyprostowana, poruszała się sennie i leniwie.

Zaprzęgnęłam czegoś się o niej dowiedzieć. Przy pierwszej sposobności spytałam:

- Jak ci na imię?
- Zina.
- A gdzie pracowałaś?

Spojrzała na mnie jak zbudzona ze snu.

— No, czym byłaś w domu? Jaka specjalność?

— Jeszcze nie pracowałam. Uczylałam się w Wuzie.

- Ach tak, a ile masz lat?
- Dwadzieścia.

Wyglądała na więcej.

Powoli wyrobiło się wśród nas przekonanie, że Zina jest tajemniczą, że miała napewno jakąś b. ciekawą sprawę polityczną.

Któregoś dnia w czasie pracy posłyszałam o kilkanaście krótków odemnie hałas. Blokfuhrer, aufsejkerka i kilka Niemek t. zw. „kapo” było wśród.

— Kogo tam biją i za co? — spytałam.

— To Zinę — Rosjankę. Herta na nią narzekała, że nosi za mało kamieni w traga-
kach.

Krzyki ucichły. Grupa się rozeszła. Zina stała, ocierając rękawem krew ciekącą z nosa. Ten dzień był dniem tragicznym w obozowej historii Ziny. Nasi dozorczy zdecydowali, że Zina jest duża, młoda i silna, więc powinna ciężko pracować. Zaczęli jej dawać najcięższe kamienie do dźwigania. Kazali pechać najcięższe taczki i bili przytem niemilosiernie, powtarzając z ironią, że: „kto nie pracuje, ten nie je”. Zina zносиła to z ponurym spokojem, nie płakała, nie osłania-

ła nawet instynktownie twarzy rękami, co jeszcze bardziej podniecało oprawców.

Pewnego dnia przyszła na pracę, stanęła i oświadczyła, że nie będzie więcej pracować. Nowa porcja razów nie pomogła. Po przyjęciu na blok nie ustawiła się w kolejce po obiad, tylko usiadła z boku. Ktoś chciał jej ofiarować swoje pół porcji — odmówiła. Kolacji też nie odebrała. Zaczęłyśmy się poważnie niepokoić. Jedzenie jest w obozie tak ważną rzeczą. Poprosiłam jej rówieśnicę Ukrainkę i Rosjankę żeby z nią pomówiły. Przecież szkoda takiej ciekawej i ładnej dziewczynki. Sama też z nią mówiłam.

— Musisz przetrwać, musisz żyć, — tłumaczyłam — musisz wrócić do kraju. Wiesz, słyszałam, że Czerwona Armia idzie ciągle naprzód, niedługo nas uwolnią.

Podniosła głowę, spojrzała na mnie uważnie i powiedziała:

— Za co, za co mnie tak biją? Przecież ja taki sam człowiek jak i oni.

Nie słuchała nikogo i nie reagowała na żadne perswazyje. Jedynie miała niesłychany sentyment do pani Szybińskiej, Warszawianki, tak zwanej na bloku „Mamy”. Mama zaczęła dla niej odbierać chleb i zupę w blokowej. Od niej przyjmowała jedzenie. Zdarzało się, że w nocy podchodziła do koi, gdzie spała staruszka, budziła ją i mówiła: — Zina głodna, daj chleba. Staruszka zaczęła się nią opiekować ze wzruszającą troskliwością, na robocie też nie zapominała o niej. O ile tylko się dała ciągnęła ją do ster-
ty kamieni, które trzeba było przebierać:

— No wybieraj, wybieraj Zina, to przecież najłżejsza praca — mówiła pół po polsku, pół po rosyjsku. — Zina rzucała kilka kamieni i znów swymi ślicznymi niebieskimi oczyma wpatrywała się w przestrzeń.

— No pracuj, pracuj, kochanie, bo przyjdzie blokfuhrer, albo Herta i znów będą bić.

Wzdrygnęła się.

— Za co? Za co mnie tak biją? Ja przecież jestem człowiekiem.

— No tak, — próbowała tłumaczyć „Mama”. — Tu, dziecko, obóz koncentracyjny, my tu musimy pracować wszystkie, inaczej to będzie z nami źle.

— A to niech zabiją, niech raz będzie koniec.

A potem powiedziała cichutko:

— Jeśli byśmy wszystkie powiedziały, że nie będziemy pracować dla nich i że nie chcemy ich jedzenia... to... co?

— Niech Bóg broni moje dziecko, niech Bóg zachowa. Co za pomysły. To by nas za to rozstrzelali wszystkie. To bunt, nie myśl nawet o tym.

— A to niechby rozstrzelali. Czy to jest życie?

Staruszka spuściła głowę, westchnęła i coś pomruczała. Zina z kamieniem w ręku patrzyła w niebo.

Z dnia na dzień gorzej mizerniała, bardziej zaczynała się w sobie i coraz bardziej zdradzała objawy melancholii. Pewnego dnia, rano, spostrzegłam zdziwiona, że Zina zawzięcie kopie. Ucieleszona podeszłam do niej. Właśnie łopata wyglądała coś w rodzaju podłużnego klombu.

— Co ty robisz, Zino?

— To mój grób — odpowiedziała z dziwnym uśmiechem.

— Zino, nie myśl tak, wrócisz, musisz przetrwać, już niedługo — naprawdę.

Pokręciła przecząco głową. Usiadła obok w kukki i tak przesiadła pół dnia wpatrzona w ziemię, nie reagując na krzyki i szturchańce.

Nadchodziła jesień, przenikliwie zimne poranki i wieczory. Zina staniała się pomiędzy nami, jak milczący cień.

Któregoś dnia przy wieczornym apelu położyła się na ziemi i nie chciała wstać. Blokfuhrer wziął ją ze sobą. Wszystkie mówiły, że na gaz do krematorium, ale to była nieprawda.

Widziałam ją jeszcze w wigilię Bożego Narodzenia. Siedziała wysoko na łóżku, naga, w klatce dla war. atek i czekała spokojnie na śmierć.

Blokowa od rana jak furia miotała się po bloku. Wrzeszczy wlecej niż zwykle, bije mocniej niż zwykle. Przy wydawaniu złótek oblała którejś ze złości rękę. Staramy się nie „stawać jej na drodze”, sprawdzamy czy koce na siennikach mają dobre kanty i w milczeniu czekamy kiedy nareszcie każe nam wyjść przed blok i ustawić się do apelu. Krótko przed odebraniem apelu oznajmiła: — Jutro odwznienie. — Czarne, złe jej oczy rzucają groźne błyski. Stoimy cichutko, nie komentujemy wcale tego ważnego faktu. O, nasza blokowa ma ciężką i wytrenowaną rączkę. Przed wojną była 25 razy kerana za bójkę i awantury uliczne. Siedzi już od 1937 roku. Niemka.

Dopiero na robocie zaczynamy szeptać i rozważać, jak to będzie jutro. Jesteśmy w lagrze niedawno. To nasze pierwsze odwznienie.

— Wiecie, jedna Niemka powiedziała mi, że będziemy całą noc siedzieli w Saunie (łaźni) — powiada Ewa przechodząc z trąkami.

— Wiesz, podobno nam znów włosy mają zgolić. Szkoda, już nam takie ładne odrosły — martwi się któraś.

Powoli ogarnia cały blok podniecenie — „coś się dzieje”...

Wieczorem po apelu zrobiło się gwaro na bloku. Masa wiadomości. Biegamy od koi do koi. Podobno wszystko odbierają. Swetry odbiorą raz na zawsze, bo w swetrach wszy się najwięcej trzymają.

— Podobno dostaliśmy nowe suknie, granatowe, płócienne, nowe fartuszki i czystą nową bieliznę — powiada Józka optymistka.

— Jak to świetnie, że nareszcie wzięli się za te wszy — powiada drapiąc się stara Żukowska.

— E, gdzie tam dadzą nowe suknie. — Żółto-biała Zofia widzi znów wszystko w czarnych kolorach.

— Nic nam nie dadzą. My przecież jesteśmy SK (Strafkolonne). My przecież jesteśmy przeznaczane na wyniszczenie w pierwszej kolejce, gdzie tam nam dadzą nowe rzeczy.

Józka jest oburzona:

— Wcale nie jesteśmy przeznaczone na wyniszczenie. Właśnie wczoraj spotkałam koło trupiarni moją znajomą z wolności, tę grubą blondynkę co pracuje w „politsche”, i pytałam, czy już wie co znaczą te nasze czerwone kółka na plecach. Powiedziała, że dokładnie jeszcze nie wiedzą, ale to wcale nie jest tragiczne. Przypuszczalnie jesteśmy zakładniczkami. Nasze sprawy są bardzo ciężkie i dlatego jesteśmy specjalnie strzeżone. Tak, tak, jesteśmy cenne. Po ukończeniu wojny będą nas wymieniać pierwsze. Dlatego mamy być podobno otoczone specjalną opieką, będziemy miały wszystko lepsze — no i to się zgadza — jutro my pierwsze mamy odwznienie.

Przed zgłoszeniem światła blokowa zapowiedziała, że budzi nas o godz. 2-iej w nocy. Musimy przed wyjściem do roboty zrobić porządek w bloku.

Jutro pracujemy tylko do dwunastej w południe. Około piątej nad ranem zaczął padać deszcz na nasze sienniki i koce równiutko ułożone pod ścianą bloku. Ale oczywiście nie można było wnieść ich do bloku, bo podłoga była wyszorowana, a poza tym rozkaz Blokfuhrera był taki.

Chmury ciężkie i niskie wisiały nad nami.

— O Boże, będzie padać cały dzień — westchnęła któraś.

— Tak, wiatru nie ma, — nie przepędzi. Będzie lato. Ale dziś pracuje się tylko do dwunastej, a potem pod dachem w łaźni nawet może sobie trochę pośpimy — pocieszała Józka.

Krótko przed dwunastą zerwał się wiatr, zrobiło się jeszcze bardziej zimno. Mokre suknie nieznośnie oblepiały ciało. Nareszcie upragniony gwizdek.

— Mittag!

Schodzimy z roboty. Na sąsiedniej ulicy widzimy jakies ogromne baseny, przywieszane autami. Pracuje tam kilkunastu męż-

czyn i kręci się lekarz naczelny. Ogarnia mnie jakiś nerwowy niepokój. Idiotka — mówię do siebie z pogardą. Przewija się myśl: To koniec... Tak zimno, deszcz, mam takie słabe zdrowie, to mnie wykończy. — Nieprawda, jestem bardzo zdrowa! — powiadam sobie i zaciskam usta.

— Schnell, anstehen! Mittag holen! — ryczy przy kotle blokowa. Prędko polykamy gorzką żeloną zupę. Za chwilę przyjdzie Blokfuhrer i idziemy na odwznienie. Na całym lagrze rozlegają się gwizdki. Tak zwana „Blokspera”, wszystkie więźniarki są zamknięte w blokach. Praca przerywana.

Zgrzyt klucza przy bramie. Wchodzi Blokfuhrer, jak zawsze jednakowo cynicznie uśmiechnięty, jak zawsze mówi cicho rozkazy blokowej i ma wyraz twarzy Mełista z Fausta wystawionego przez kółko amatorskie w moim miasteczku.

Wiatr przygnal nowe chmury. Zaczyna gorzej padać. — Och! jak zimno! — Znów ten sam nerwowy lęk przed czymś nowym co ma za chwilę nastąpić. Ale na razie nic strasznego. Po prostu ustawiamy się jak zwykle w piątce i przenosimy koce. Kierunek ta właśnie boczna ulica, gdzie ustawiali baseny.

— Oho, to wygląda jakoś bardzo groźnie — szepcze któraś za plecami.

Koło dość dużego składanego basenu stoi może 15-u SS-manów w gumowych rękawiczkach, wszyscy mają maski gazowe przewieszane przez ramię. Elegancki doktor Rode w nowiutkich białych jelonkowych rękawiczkach stoi z daleka i wydaje rozkazy.

Wszystkie koce włożyć do basenu. Następnie rozebrać się do naga i włożyć ubranie do basenu. Deszcz leje coraz większy. Jest druga połowa sierpnia, ale pech chce, że dzień jest taki zimny jak w październiku. Prędko rozbieramy się i jedna po drugiej wkładamy ubrania do basenu, oczywiście natychmiast ustawiamy się piątkami i czekamy na dalsze rozkazy.

W oknach sąsiednich bloków z rozplaszczonymi na szybach nosami przyglądają się nam koleżanki. Ostatnia piątka włożyła ubranie do wody. W lewo zwrot i marsz. Kierunek — Sauna (łaźnia). Odległość około kilometra.

SS-mani otaczają nas i teraz dopiero spostrzegam, że jest wśród nich jedna Ausseherin. Śliczna młodzieńka blondynka w lakierowanych wysokich butach z nieodstępna szpicrutą w ręce. Ma małą, obciągniętą skórkową rękawiczką rączkę, ale jak smagnie szpicrutą przez plecy lub twarz, to pamięta się długo. Jakis młody SS-man idzie koło niej i pokazuje nasze obnażone ciała, szepcze coś do niej. Oboje śmieją się cynicznie.

Maszerujemy równiutko, nagie, sine — demonstrując wszystkie deformacje naszych nagich ciał.

Obok mnie idzie 72-letnia „Mama S.”, potknęła się o kamień i aż syknęła z bólu.

— Moja pani, ja 4-ech synów i 3 córki na ludzi wychowałam. A ciężko nam było. Robotniczymsy prości z mężem byli. Jeden syn sędzia, drugi nauczyciel, trzeci urzędnik, córki też wszystkie wykształciłam. Przecierpiałem się w życiu nie mało i żyję, to mnie tam i ten cały lagier nie weźmie. Tylko się trza trzymać, moje dzieci — opowiadała nam zawsze kąpiąc lub nosząc cęgly.

— Biedna, biedna staruszko — myślę, patrząc na jej zniszczone ciało. — Biedna matko, czy chowając swoje dzieci, walcząc o lepsze jutro dla nich, przypuszczając, że kiedyś w 72 roku życia będziesz nago maszerować przed żołdakami niemieckimi?

Myślę, że jej musi być jeszcze zimniej niż mnie, jeszcze przykrzej niż mnie. Idzie ze spuszczoną głową i bezustanku szepcze coś do siebie. Może się modli, a może przeklina Niemców? W tej samej piątce sztywno wyprostowana maszeruje jej najmłodsza córka. Ma ręce zacisnięte — nasze oczy spotykają się i rozumiemy.

Z drugiej strony obok mnie idzie Kasia

góralka i ciągle półgłosem mruczy: — O Jezu. O Jezu, taka obraza boska, taka obraza w biały dzień, tak nas te skurwysyny prowadzą.

— Cicho, Kasiu, bo cię jeszcze uderzy — powiadam.

— A niech mnie zabiją, niech raz koniec ze mną będzie. Za te trzy punkty, com sprzedała, taka kara, taka obraza boska. Jo gazdzianka, wicie?!

Oh! Szpicruta pięknej blondynki smagnęła Kasię, aż mnie się końcem dostało.

— Halt die Schnauze! — Singen (śpiewać).

Niemki maszerujące na przedzie zaczynają posłusznie zwykłą piosenkę: „Kamerad wo bist du? Kamerad wie heist du?”

— Gdzie jesteś przyjacielu? Gdzie jesteście, mój drodzy, bliscy ludzie, czy was jeszcze kiedyś zobaczę?...

W samej łaźni nie było nic specjalnego. Niebieską zimną wodą zleli nam głowy. Bez ręczników i mydła stanęliśmy pod zimnym tuszem. Jest mi potwornie zimno, zaczynam się znów roztkliwiać nad sobą. Mamusi, czy mogła przypuszczać, kiedyś mnie małą otulała ciepłą kolderką, że mi będzie kiedyś tak strasznie zimno i że... i że... Nie, nie wolno się roztkliwiać nad sobą. Nie miałam nigdy matki, nie miałam nigdy ciepłego białego łóżeczka, nie byłam nigdy człowiekiem, nigdy. Zawsze tylko numerem 44739. A w ogóle nie jest wcale zimno. Uśmiecham się do sąsiadki.

Cała świta stoi w drzwiach i patrzy na naszą kąpiel. Od czasu do czasu „Capo” z łaźni, gruba Muskele, rzuca się pomiędzy nas i bijąc pasem, popycha pod prysznic tę, która stara się ominąć zimny prąd. Wreszcie gwizdek. Rauss — loss. Przechodzimy do następnej hali. Mężczyźni odeszli. Została tylko blondynka i jeden wartownik przy drzwiach. W hali okna są otwarte na przestrzal. Wiatr hula. Zaczyna nas opanowywać drżenie, którego nawet największym wysiłkiem woli nie można opanować. Aufsejkerka mówi coś do Capo, która po chwili staje uśmiechnięta pośrodku sali i oznajmia, że które z dziewcząt młodych, o bezwzględnie czystych, zdrowych ciałach zechcą, mogą się zgłosić do Pufu (domu publicznego). Zapisy przyjmuje Aufsejkerka zaraz. W krótkich cynicznych słowach zachwalała, jakie korzyści materialne będą mieć w związku ze zmianą sytuacji. Od razu 18 Niemek rzuca się z piśkiem radości do stołu. Nasze nie znające dostatecznie języka niemieckiego informują się cichutko o co chodzi. Dwie z tych 18-tu ze śmiechem odrzucono. Za chude, za stare. Capo fachowo ogląda ciała, klepie po piersiach i pośladkach. Blondynka stoi z nogą opartą o stółek i z uśmiechem zapisuje numery w notatniku.

Ktoś szepcze:

— Wiesz, ta Capo to była podobno Puf-mamą w Katowicach.

— Weiter — zwraca się do nas blondynka. Milczymy.

— O, to nie jest towar odpowiedni — powiada Capo. — To „polnische Drek Scheise” — Wszystkie Niemki wybuchają śmiechem.

— O Jezu, taka obraza boska, no powiedz nani, taka obraza, i jo, córka gazdy, gaz-

dzionka — buntuje się znów Kasia.

— Singen! — Aufsejkerka machnęła szpicrutą. Pośrodku sali staje gruba, ubrana w czarny kitel Capo i nagle zaczyna śpiewać dobrym, szkolonym koloraturowym głosem jakąś niemiecką piosenkę kabaretową. Jestem szalenie zdziwiona. Nie podejrzewałam, żeby ten kwadratowy pysk buldoga mógł wydać ze siebie taki głos. Wszystkie Niemki nagle zaczynają poruszać biodrami i po następnej zwrotce śpiewają refren.

Na środek wybiegają ochotniczkami do „pufu” i zaczynają tańczyć jakiś cyniczny bezwstydną taniec. Wydaje mi się, że treść piosenki polega na zachwalaniu poszczególnych części ciała, bo wskazują je śpiewając. Aufsejkerka dostała rumieńców na twarzy, oczy jej błyszczą. SS-man w drzwiach śmieje się. Oboje do taktu uderzają szpicrutami o cholewy butów. My stoimy w kącie zbite w gromadkę, sine i drżące. Któraś przytulona z tyłu do moich pleców beczy. Tak płacze, że czuję na zimnym ciele jej ciepłe łzy. Odwracam się. — Nie becz — powiadam — to w tej chwili jest nawet bardzo ciekawe. Po prostu efekt filmowy. — Ale ona jest widać innego zdania i beczy dalej.

„Mama S” zakryła oczy ręką. Teraz już wyraźnie słyszę, jak półgłosem odmawia: „Kto się w opiekę odda Panu swemu... na lwa srogiego bez obrazy siedzisz i na ogromnym smoku jeździć będziesz”... Nagle z naszego grona wyrwa się stara polska Cyganka. Chuda jak szkielet, czarna jak diabeł, ze śmiesznie sterzącymi kosmykami włosów i zaczyna w takt niemieckiej piosenki tańczyć kozaka.

Niemki ogarnia szal radości. Śpiewają jeszcze głośniejsze i klaszczą w dłonie do taktu. Stara robi prysiudy coraz prędzej, prędzej — skaczą do taktu tragicomicznie obwisłe starcze piersi. Wreszcie jak tańczący derwisz pada na ziemię. Jakś sabat czarownic, myślę sobie, czy to sen, czy rzeczywistość? Spoglądam wokoło, ta i owa nawet się uśmiecha. Nie, to nie sen.

— Rauss, loss, schnell!

Wychodzimy i znów maszerujemy przez Lagerstrasse do basenu. Tam jakimiś kijami wyciągamy z niebieskiej cieczy nasze koce i ubrania, mokre, ubrudzone w błocie rzeczy niesiemy do bloku. Dopiero na podwórku wolno nam je wyjąć i rozwieść, ale coż kiedy deszcz pada bezustanku. Koce poukładaliśmy na dachu. Przy rozdziale ubrań nie obyło się bez kłótni i bójk, naturalnie. Na bloku duszący zapach jakiegoś gazu. Ani koców, ani bielizny, sienniki mokre. Całą noc nie zmrzuliśmy oka, tuląc do siebie nagie ciała. Jeden piec, w którym się trochę paliło, obstąpili Niemki.

Następnego dnia była śliczna słoneczna niedziela. Do południa wyszły prawie wszystkie rzeczy. Natychmiast po wysuszeniu wszy ożyły. Całe wolne poobiednie spędziliśmy na pracowitym ich tępieniu.

Wieczorem tylko 3 z 40 stopniami gorączki poszły na tak zwany „revier” (szpital). Jedną z nich była tańcząca kozaka Cyganka.

W kilka dni potem pokazały nam koleżanki, które nosiły trupy jej nagie brązowe ciała.

Maria Zarembińska

ADAM WENDEL

Dlaczego chcemy jednoizbowego parlamentu

SENAT REPREZENTUJE SIŁY WSTECZNE

Jedno z pytań głosowania ludowego dotyczy ważnego zagadnienia konstytucyjnego, czy w Polsce ma być parlament jednoizbowy, t. zn. tylko sejm, czy też dwuizbowy, t. zn. sejm i senat, jak to przewidywała konstytucja marcowa.

Chociaż zagadnienie to nie posiada tak kapitalnego znaczenia, jak sprawa utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego, wprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienie podstawowych gałęzi gospodarki krajowej, to jednak logicznie sprawy te wiążą się ze sobą i nie jest przypadkiem poddanie pod głosowanie ludowe sprawy jednoizbowości parlamentu.

Ta więc logiczna polega na tym, że ludowa demokracja społeczna i gospodarcza musi mieć należyty odpowiednik w ustroju politycznym.

Jest rzeczą oczywistą, iż w demokracji typu burżuazyjnego, klasycznej demokracji politycznej, oznaczającej tylko formalną równość obywateli wobec prawa, sam jednoizbowy parlament nie zastąpi klasie robotniczej społecznych zdobyczy ludowej demokracji.

O istocie bowiem demokracji ludowej nie decyduje ta czy inna forma ustroju politycznego, ta czy inna struktura władzy ustawodawczej, lecz przede wszystkim układ sił społecznych.

Tym niemniej obecny układ sił społecznych w Polsce, który nastąpił w wyniku doniosłych reform, jest taki, że nie da się pogodzić z istnieniem dwuizbowego parlamentu.

W warunkach ludowej demokracji tylko jednoizbowy sejm jest prostym i bezpośrednim wyrazicielem woli narodu.

Jeden z pierwszych artykułów konstytucji marcowej głosi: „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do narodu”. Te słowa o władzy zwierzchniej narodu a więc o jego suwerenności, dopiero w dzisiejszych czasach doniosłych reform społecznych nabrały rumieńców życia. Dopiero ludowa demokracja stworzyła warunki w których naród może istnieć nie stać się jedynym źródłem władzy, w których odrzucone zostały takie źródła władzy, jak siła polityczna obszarników czy potęga finansowa karteli.

Sejm jest przedstawicielstwem narodu. Dla niego jest rzeczą najszlachetniejszą by ta najwyższa jego reprezentacja będąca jak gdyby jego uosobieniem, bo wywodząca się z bezpośrednich wyborów był jedynym organem narodu w zakresie ustawodawstwa.

Tworzenie obok sejmu jeszcze i senatu, który w gruncie rzeczy ma te same zadania ustawodawcze do spełnienia co i sejm, byłoby sztucznym rozdwojeniem władzy ustawodawczej, która winna być jedna i niepodzielna. Istnienie 2 przedstawicielstw „zwierzchniej władzy narodu” nie wydaje się rzeczą słuszną, o ile ta zwierzchnia władza nie jest frazesem czy fikcją.

Pierwszym aktem odrodzonej Polski jest historyczny Manifest Lipcowy, który obok zapowiedzi wielkich reform społecznych, będących dziś w dużej mierze już faktem dokonany, zawiera odrzucenie faszystowskiej konstytucji z 1935 r. a użnanie konstytucji z 17 marca 1921 r.

„Podstawowe założenia konstytucji z 17 marca 1921 r. obowiązujące będą aż do zwołania wybranego w głosowaniu powszechnym, bezpośrednim, równym, tajnym i stosunkowym Sejmu Ustawodawczego, który uchwali jako wyraziciel woli narodu nową konstytucję.”

Ograniczanie praw sejmu wybranego w demokratycznych wyborach przez „elitarną” drugą izbę nie jest rzeczą możliwą w obecnych naszych warunkach.

Zwolennicy senatu przytaczają w jego obronie zazwyczaj takie argumenty, iż senat reprezentuje rozagę, doświadczenie życiowe i umiar, co odbija się rzekomo korzystnie na jakości ustawodawstwa.

Oczywiście, iż jest to tylko „dymna zasłona” dla wstecznych sił, popierających senat.

W istocie bowiem o powadze parlamentu decyduje jego rzeczywiste stanowisko. Dawny sejm, nawet w czasach przed przewrotem majowym, nie był ze względu na stosunki społeczne w kraju organem solidnej pracy, nie służył dziełu postępu i demokracji.

Nie dwuizbowość jest gwarancją powagi parlamentu, ale należyta atmosfera pracy.

Izby wyższe powstały w historycznym rozwoju jako reprezentacja interesów klas arystokratycznych czy uprzywilejowanych. Są one echem feudalnych czasów. Wystarczy przypomnieć, iż we Francji do Wielkiej Rewolucji 1789 r. były nie 2 lecz 3 izby, będące odpowiednikami 3 stanów: szlachty, duchowieństwa i mieszczaństwa.

Następnie w historycznym rozwoju przekształciły się senat na przedstawicielstwo klasowych interesów, przede wszystkim wielkiej własności ziemskiej.

Charakterystycznym przykładem jest tu angielska „Izba lordów”. Zdecydowaną większość stanowią w niej przedstawiciele wielkich rodów angielskich, przy czym obowiązują tu zasady dziedziczenia, to znaczy, iż godność lorda przechodzi z ojca na syna. Pomadto są tu lordowie z urzędu, jak np. szereg biskupów i arcybiskupów, inni zaś lordowie pochodzą z mianowania królewskiego.

Na Węgrzech do samej rewolucji 1849 roku istniała Izba magnatów, złożona z członków, mianowanych dożywotnio przez monarchę.

Znaczenie izby jest wszędzie w miarę postępującej demokracji życia coraz mniejsze, a senat staje się w ten sposób przeżytkiem. Będąc hamulcem postępu i reform społecznych, senat w obecnych warunkach jest w Polsce nie do przyjęcia.

Gdy zlikwidowana została klasa obszarników, gdy kraj nasz pozbył się karteli, nie ma jakiegokolwiek gospodarczej podstawy dla istnienia senatu, który stałby się anachronizmem w naszym życiu.

Dzisiaj w Polsce jest czas wyrównywania zaniedbań historycznych, czas śmiałych i szybkich decyzji, a w obliczu tych doniosłych zadań, stojących przed nami, senat byłby kamieniem u nogi narodu.

Sprawa jednoizbowości parlamentu nie od dzisiaj jest bojowym hasłem demokracji w Polsce. W latach 1919—1921 rozgorzała ostra walka między stronnictwami prawicy, wspomaganymi przez Polskie Stronnictwo Ludowe „Piast”, a opozycją kierowaną przez socjalistów: powołanie senatu już wówczas budziło zastrzeżenia obozu demokracji, co znalazło wyraz w deklaracji złożonej przez P.P.S. w sejmie w dniu uchwalenia konstytucji, to jest 17 marca 1921: „Większość sejmowa, uchwalając senat, stworzyła sztuczną przeszkodę dla dalszych postępów demokracji”.

Nie ulega wątpliwości, iż senat w okresie przed przewrotem majowym odegrał istotnie tę ujemną rolę, utracając niejednokrotnie postępowe dążenia sejmu i hamując tempo niecierpiących zwłoki prac ustawodawczych.

Znane jest powszechnie reakcyjne stanowisko senatu w sprawie niestawnej ustawy Chjeno-Piasta o wykonaniu reformy rolnej z 1925 r., już w brzmieniu sejmowym antychłopskiej, a tak przez senat jeszcze zmiekszczonej, że stała się ona narzędziem w ręku obszarników.

Ten antydemokratyczny charakter senatu ułatwił sanacji wprowadzenie do konstytucji z 1935 r. senatu, który w 1/3 części nawet formalnie nie pochodził z wyborów, lecz z nominacji Prezydenta Rzeczypospolitej. Co do pozostałych 2/3 części senatu zwyciężyły jawnie faszystowskie koncepcje Mussoliniego i Hitlera o „elicie”, gdyż tu wyborcze prawo uzależniono od wykształcenia, stopnia oficerskiego itp. co całkowicie oddawało senat w ręce rządzącej klikki nawet pod względem formalnym.

Ewolucja państw europejskich po wojnie zmierza do usunięcia senatu, jako formy niezgodnej z dzisiejszymi czasami.

Odrodzona Jugosławia odrzuciła istniejący do wojny w tym kraju dwuizbowy parlament, wprowadzając w swej nowej konstytucji tylko sejm.

Jugosłowiańska Izba Narodowości nie ma nic wspólnego z senatem. Jugosławia jest państwem wielonarodowym, związkowym, a poszczególne państwa delegują swych przedstawicieli do Izby Narodowości.

Podobny charakter ma w Związku Radzieckim Rada Narodowości do której poszczególne republiki związkowe wysyłają po 25 delegatów, a republiki autonomiczne po 11 delegatów.

Senat zmiekszczał układ sił społecznych o czym przekonywują przykłady wzięte z życia naszego przed przewrotem majowym.

Zawazyła tu z pewnością mnogość



Obóz w Elbensee 6 Maj 1945
Dzień oswobodzenia.

ANDRZEJ JAN BACULEWSKI

Dobra tworzące kulturę

1. BUNT PRZECIW TECHNICIE

Są zwolennicy wiedzy zaspakajającej wyłącz- nie instynkty poznawcze. Poszukują oni wie- dzy czystej i zadawala ją jej wewnętrznym rozwojem. Źródłem tej wiedzy jest samo za- interesowanie, celem — poznanie rzeczywi- stości w pewnej jej postaci. Poznanie takie posiada swój walor: daje szczęście ludziom, miłującym naukę. Tak jednak pojęta wiedza, widząca cenę nauki poza jej praktycznym za- stosowaniem, jest kontemplacyjną. Przedmio- tem jej jest idealny absolut, nieosiągalny cel pragnień i marzeń.

Nam idzie jednak nie o pusty scientyzm lub metafizyczne tęsknoty, lecz o wiedzę, która daje środki do konkretnych zmian w otocze- niu, która, innymi słowy, daje władzę nad przyrodą.

Całe życie współczesne oparte jest na prak- tycznym powodzeniu nauk. Istotą tego powo- dzenia jest zastosowanie techniki do wyzyska- nia naturalnych źródeł energii i zamiana ludz- kiego wysiłku przez siły mechaniczne. Przeciw tym technicznym zastosowaniom nau- ki i przeciwko będącej jej konsekwencją me- chanizacji wysuwane są daleko idące zastrze- żenia.

W grudniowym zeszycie „Życia Literackie- go” czytaliśmy żale Zofii Starowiejskiej-Mor- stinowej, która ze zgrozą stwierdza, że „me- chanika, która jest zmorą i brzydota świata dzisiejszego, jest snem i ideałem Leonarda”. Romantyczne księżniczki angielskie czuły to samo, kiedy przy wytyczeniu pierwszej linii kolejowej w Anglii zabroniły budowy toru w odległości bliższej niż 150 km od pałacu. Tra- kowały to jako zmorę i brzydotę. Nie tylko one. Postęp budził zawsze odrazę w tych, którzy widzieli w nim gasnący świat swojej klasy. Dziś dręczą nas turbogeneratory, ale kiedyś obunialismy się na lampę naftową.

Lao-Tse, który żył w IV w. przed Chrystu- sem, podobnie jak Ruskin zlorzezczył niszczeniu dawnego piękna przez mechaniczne wynalaz- ki. Drogi, mosty i statki wzbudzały w nim wstręt. Uważał, że postęp współczesnego życia jest szkodliwy dla rozwoju życia du- chowego. Opuścił więc Chiny. Lao-Tse uwa- żał, że człowiek powinien żyć zgodnie z przy-

rodą. Nieco później Rousseau pragnął również powrotu do natury, ale nie występował już przeciw mostom, drogom i statkom. Lao-Tse sprzeciwiał się niezdłżaniu koni oraz zajmo- waniu się sztuką gamcarską i ciesielską. Natomiast dla Rousseau'a sztuka ciesielska była symbolem prawdziwej pracy.^{*)}

Nasz opór wobec techniki odpowiada diale- ktyce opóźnień świadomości wobec procesów o charakterze pierwotniejszym! Motor powoli wypiera konia, a wysiłek mięśniowy człowieka przejmują maszyny. Strach przed współ- czesną techniką ludzkość przypomina ponure przepowiednie, rzucane w ubiegłym stuleciu z powodu dymu lokomotyw, który miał zwa- rzyć wszystkie drzewa i spowodować pow- szechną „blednicę”.

2. TECHNICZNE OBLCZE KULTURY

Technika jest społeczną konsekwencją nauk, jest nieodłącznym czynnikiem postępu społec- znego i odwiecznie zrosnięta z kulturą. Miej- my odwagę stwierdzić, iż jest nam równie po- trzebna dla rozwoju duchowego jak nauka, sztuka, gospodarka i organizacja życia bio- rowego. Istnieje u nas uprzedzenie do samego wyrazu technika i do jednostronnego ujmowa- nia jego znaczenia. Pojęcie techniki jest różnorodne. Znany technikę prac badaw- czych, jako pewną szczególną ekonomię środ- ków i sprawności metodycznych.

Wyposażenie młodzieży szkolnej w techni- czną umiejętność pracy umysłowej jest dziś jednym z najbardziej istotnych celów nauki, jest sprawdzianem, którym mierzy się war- tość wykształcenia w szkole, rozumianego nie jako encyklopedyczny zasób wiadomości, ale zespół sprawności umysłowych i technicznych zabiegów, ułatwiających dalsze samokształc- nie.

Należałoby wyróżnić pojęcie techniki jesz- cze w innym znaczeniu, jako sposób celowe- go zachowania się jednostki. Jest to techni- ka indywidualnego jej życia, charakterystycz- ny sprawdzian społecznego i osobowego jej rozwoju.

Kultura nasza bez współczesnej techniki istnieć nie może. Wszystkie dziedziny życia uzależnione są od jej rozwoju! Nie warto wspominać o tych powszechnie znanych zo- byczach techniki przemysłowej, które zdecy- dowały o nowoczesnej formie układu stosun- ków społecznych, które w wyniku racjonaliz- acji i podziału pracy czynią dostępnymi dla całych klas społecznych pewne dobra i pro- dukty, których nie zaszły one od początku świata.

Ekonomiści udostępnienia tych produktów przypisują technice, nie tylko ze względu na jej rolę przy kalkulowaniu się produkcji ma- sowej, ale i ze względu na zdobywanie no- wych źródeł bogactw, które niedostępne by- łyby bez zastosowania techniki. Przykłado- wo możemy wymienić sztuczną produkcję soli azotowych z zawartego w powietrzu azotu, lub oddanie pod uprawę rolną olbrzymich ob- szarów, których zająłoby dla człowieka kli- mat zmieniała technika, niszcząc zaradki ma- larski i złoty febr.^{*)}

Olbrzymi rozwój techniki w zastosowaniu do biologii i fizjologii zmniejszył śmiertelność o 30% w ciągu ostatnich 50 lat. Technika w zastosowaniu do tych nauk pozwala dziś w sposób świadomy ujmować zagadnienia popu- lacyjne i eugeniczne. Technika ma również zastosowanie w psychologii, jako psychoana- lityczna metoda w wychowaniu. Odgrywa także poważną rolę w zakresie leczenia cho- rob psychicznych przez sztucznie stosowanie takich produktów, które wydzielają gruczoły chłonne, wywierając wpływ na życie psychi- czne ludzi. Olbrzymie zastosowanie ma techni- ka w rozwiązywaniu zagadnień społecznych. Ogłoszenia o milionowym nakładzie zwiększa- ją sprawność państwa w wydawaniu zarząd- zeń i w zakresie wytwarzania jednolitej opi- ni społecznej.

Radio i prasa są wyrazem współczesnej tech- niki rządzenia i służą również jako środki wychowania państwowego.

Wpływy wychowawcze państwa posiadają znaczenie dla tworzenia się pewnej spójności społecznej, która jest zarówno warunkiem jak i celem współczesnej techniki rządzenia. Spójność ta jest nieodzowna przy współdzia- łaniu ludzkim nad wytwarzaniem własnego dobrobytu materialnego. Technika w zastoso- waniu do zagadnień życia społecznego rozwija współdziałanie i zwiększa jego koordynację. Spójność społeczna niweluje różnice grup i odrębności indywidualne, powodując wzrost więzi społecznej. Rozwój techniki wymaga kształtowania osobowości ludzkiej wg. po- trzeb życia zbiorowego.

Człowiek współczesny przestaje być odo- bioną jednostką i staje się coraz więcej za- leżnym od organizacji życia społecznego. Im

dalej idzie postęp nauk, który wpływa na roz- wój techniki, tym bardziej technika oddziały- wa na rozwój życia społecznego i powoduje jego przeobrażenia. Zmiany, wywołane wyko- rzystaniem nauk i techniki dla potrzeb życia zbiorowego, powodują rozwój współżycia spo- łecznego.

Konsekwencje rozwoju techniki, powodują- cego rozwój gospodarki, wykraczają poza od- działywanie na zmianę wewnętrznej struktury społecznej i poza rolę jednostki w grupie.

Wywołują one konieczność tworzenia orga- nizacji o zasięgu światowym ponad granicami państw i dywersją nacjonalistów. Organizacje światowe, które ujmują planowanie gos- podarki i kierowanie polityką państw, usuwa- jąc niebezpieczeństwo wojny, przedstawiają korzyści tak olbrzymie, iż stają się jedynym warunkiem życia społeczeństw, w których zastosowano zasady techniki opartej na za- wodowej wiedzy. Technika w życiu współ- czesnym stawia naszą cywilizację wobec przy- musu współdziałania, pokoju i rozwoju. Nikt nie przeczy, że powoduje to stan niewoli, w jaką popadają nasze instynkty i cała przyro- da. Ale stan ten według życzeń wrogów techni- ki można zmienić, oddając się w niewolę pierwotnych warunków. Przeprowadzmy je- dnak linię podziału. Niech wrogowie techniki zamieszkają w wigwamach i chodzą myć się do rzeki, a uwierzmy, że są między nami różnice. Nikt jednak tego nie uczyni i cico w głównej mierze mają dusze zmęczone zgie- lkiem żelaza i mechanizmem współczesnego życia, uciekają z plekta w lesne ustronia wła- snym autem, którym z reguły powożą.

3. PRZYCZYNY ZASTOJU SPOŁECZNEGO

Czym jest technika w Polsce, o tym jest łatwo zorientować się poznawszy np. nasze sposoby wyrobu chleba. Jest to nie tylko pry- mitywizm, ale barbarzyństwo. Dola techniki w Polsce jest haniebna. Żyjemy w warun- kach, w których powszechnie tylko stosujemy pierwszą umiejętność techniczną: technikę ale- cenia ognia. Warto obejrzeć regionalny album wojewody Rota, aby się przekonać, że lud- ność podwarszawska mieszka w murzynskich lepiankach, w których ludzie nie myją się, nie przebierają, śpią podziemami pod jedną pości- ę, świeca kaganki naftowe, a żywią się jak jaskiniowcy. Ich życie duchowe? Jest takie jak materialne. Albowiem stan techniki to stan kultury. Kiedy nasza „duchologia” zbyt nas podnieca, trzeba dla ochłonięcia opuścić mrowiane domy miasta i przenieść się na prawdziwą polską wieś. Tam trzeba zapytać ludzi, co zabija ich ducha? Technika, czy na- tura?

Technika w naszym rozwoju społecznym nie bierze udziału. Jest niewolnicą w łaznie pier- wotnych warunków. Trzeba ją z tego stanu dopiero wyzwolić. Jej wyzwolenie zaś to na- sza nauka, praca i wiedza zawodowa. To na- sza kultura. Kto jest przeciw temu? Opory, na jakie napotyka idea technizacji, są już dziś częściowo przesadą lub ignoracją. Społecz- nie tylko drobniomieszczaństwo mogłoby być zainteresowane opóźnieniem w rozwoju tech- niki. Ten fakt posiada pewne znaczenie dla reform ustroju szkolnego. Tradycyjnie przywią- zanie do szkoły ogólnokształcącej i to, co się czasem nazywa nawet bezmyślnym pędem młodzieży, ma swoje uzasadnienie w prze- wadze elementu drobniomieszczańskiego, za- pełniającego szkołę ogólnokształcąca. Między pędem młodzieży a interesem rodziców moż- na by ustalić pewne zależności. Rzemieślnik szkołą zawodową nie był nazbyt zaintereso- wany, bo odbierała mu ona jego autorytet i przyspieszała postęp techniczny, grożący ruiną jego warsztatu. Te przyczyny mają swoją wagę przy decyzjach, jakie przedsię- bierze rzemieślnik, obierając drogę kształce- nia swoich dzieci. W miłości do szkoły ogólnokształcącej można uznać namiętność klaso- wą do zatrzymania rozwoju gospodarzo-spo- łecznego. Szkoła ogólnokształcąca posiada dziś i to oblicze. Jest terenem, który dość pieczołowicie jeszcze kultywuje idee niezale- żności od życia gospodarczego, rozumiejąc tę niezależność jako ograniczenie form produkcji do wytwórczości rzemiosła i panowanie klasy społecznej, która na nim bazuje. Między kon- cepcją ekonomiczną, której istotę stanowi warsztat rzemieślniczy, jako niezależna samo- dzielna komórka, mogąca decydować o roz- woju i pomyślności gospodarczej państwa, a autonomią personalistycznej osobowości ludz- kiej, mającej warunkować rozwój społeczeń- stwa i jego kulturę, zachodzi zależność struk- turalna. Jaką stanowi wzajemne powiązanie sfery ideowej z jej podłożem społeczno-gos- podarczym.

Możemy się więc nie dziwić, że szkoła ogólnokształcąca tak wrogo, a jak sądzą nałwi- ni, bez zrozumienia traktuje elementy specja- lizacji zawodowej i konieczności zbliżenia do potrzeb gospodarczych, że jej obrońcy i filo- zofowie tak boją się zagrożenia całości ducho- wej struktury człowieka, gdyby się go zwią-

zało z potrzebami gospodarczymi, i że w tak wymyślny sposób wykazują niewspółmierność między dobrami materialnymi i duchowymi, między pracą a człowiekiem, gospodarką a kulturą, techniką i wolnością.

Nasze dni upominają się o alians oświaty z ekonomią czyli o pełne prawa rozwoju współczesnego kulturalnego człowieka, stawiając nas wobec konieczności reformy ustro- ju szkolnego. W ustroju tym musimy zdecy- dować o naszym udziale w powszechnym po- stopie świata, musimy wybrać: świeżość i nie- winność życia na łonie natury lub przejmują- cy trud o techniczny wyraz naszych potrzeb kulturalnych.

Kiedy mamy do czynienia z uwarunkowa- ną klasowo negatywną postawą wobec rozwoju technicznego, walka o współczesne formy kultury musi się przenieść na właściwy teren życia politycznego. Romantyczne uprzedzenia i przesady, owoce polskiego zapóźnienia w rozwoju, trzeba usunąć ze świadomości, pod- ważając wiarę w ich wartość.

4. NIWELACJA CZŁOWIEKA, CZY JEGO WYZWOLENIE

Jakie zło widzą jawni sentymentaliści w kulturze technicznej?

Widmem, które ich straszy, jest człowiek- automat, odarty przez technikę ze wszystkich duchowych treści, sprowadzony do roli bier- nego narzędzia produkcji, zatrzymany w spon- tanicznych aktach twórczości. Boją się mecha- nizacji, która powoduje bezrobocie techniczne, oddające robotnika w niewolę fabrykanta. Bo- ją się monotoni pracy, która gasi myśl w człowieku, tępi jego inteligencję, tłumi uczu- cia i zabija instynkty.

Czy wyzysk jest winą techniki? Intensyfi- kacja produkcji, którą umożliwia technizacja, jest dla zaspokojenia potrzeb społecznych zjawiskiem pożądanym, zwłaszcza jeśli szuka technicznych sposobów zwiększania wydajno- ści pracy. Ale związany z tym postęp fabryczny, wywołujący nadludzkie zmęcze- nie robotnika, jest nawet przy podwyż- ce płacy nadużyciem. Otóż technika coraz wydatniej zwalcza to naduży- cie. Dziś wydajność produkcji w coraz więk- szym stopniu staje się zależną nie od wzmo- żonej aktywności ludzkiej, ani od przyspie- szzonego rytmu pracy, lecz od mechanizacji, która przyspiesza proces produkcji. Wszyscy ci, którzy mieli możność obserwowania pra- cy amerykańskich żołnierzy, musieli zauwa- żyć, iż ukanie wysiłku fizycznego jest u nich przyzwyczajeniem. Niechętnie chodzą oni pieszo, dla przenoszenia ciężarów nie używają z reguły ani własnych rąk ani ple- ców. W najgorszym wypadku ciągną ciężar pó- ziemi, jeśli waga jego nie przekracza nawet 10 kg. Wniosek z tego jest taki, że Ameryka, kraj technicznie rozbudowany, nauczyła oszczędzać wysiłek fizyczny, eliminuje go z pracy człowieka, powierzając to maszynom. Wszelki bowiem nadmiar czynności i ruchów robotnika technika współczesna przerzuca na urządzenia automatyczne, mogące zapewnić człowieka zastąpić.

Dźwiganie ciężarów nie uchodziło nigdy za pracę wymagającą inteligencji. Jest to praca „zwierzeczka luczego”. Technika sprawia, że wszystkie niższe czynności naszej pracy speł- nia maszyna.

Czyż nie leży w interesie rozwoju ducho- wego jednostki i dobra społecznego, żeby lu- dziom odjąć ciężar pracy, obronić ich od prze- puklin i zwolnić z dźwigania ciężarów? A jednak istnieją opory przeciwko tym udoskona- leniom: dźwig, taśma ruchoma, elektryczny młot przejmują niektórych ludzi obawą. A przecież przynosić może zastąpić stu traga- rzy, produkcja taśmowa zaś jest wynikiem ograniczania ruchów i manipulacji robotnika do minimum.

5. PRODUKCJA TAŚMOWA A PRACA ZA POPEDEM DUCHA

„W wyniku nieustającego poszukiwania spo- sobów zapewniania jak największej ciągłości operacji i zmniejszania drogi od jednej ma- szyny do następnej, technicy doszli do prze- konania, że można właściwie obejść się bez manipulacji robotnika”, umieszczając wzdłuż „toru” pracy chodnik ruchomy, który właści- wie zatławia sprawę przenoszenia przedmio- tu między sąsiadującymi maszynami. W ten sposób krążenie przedmiotów odbywa się au- tomatycznie z doskonałą regularnością. Apa- raty te nie zmieniają w niczym całego prze- biegu pracy. Jedyną zmianą polega na tym, że materiał, który jest w obróbcie, sam podsu- wa się pod rękę pracującego i sam odchodzi, gdy po skończonej operacji robotnik umieści go na bieżącej taśmie”. Z punktu widzenia wysiłku człowieka, jest to olbrzymia dla nie- go pomoc, z punktu widzenia produkcji — wielkie jej przyspieszenie, z punktu widzenia potrzeb społecznych — szybsze ich zaspoko- lenie, z punktu widzenia konkurencyjnej gos- podarki kapitalistycznej — wyzysk robotni- ka, zarzucenie rynku towarami, które nie mo- gą znaleźć masowego zbytu w wyszkiwa- nych klasach społecznych — w dalszym cią- gu bezrobocie i kryzysy gospodarcze. Ale nikt nie może twierdzić, że taki porządek rzeczy musi trwać. Tu nawet personaliści wypowie- dzie wojnę kapitalizmowi i biorą w obronę technikę. Dlaczego mimo to nie aprobują kul- tury technicznej? Ponieważ uważają ją za

(Dokończenie ze str. 5-tej)

stronnictw, absolutnie niespotykana w za- dnym innym państwie. Dość powiedzieć, że w tych latach stronnictw związków po- litycznych było 92(!), z czego 92 przypa- dało na stronnictwa sejmowe.

Jest rzeczą jasną, iż nie było i być nie mogło tylu programów politycznych, ile było stronnictw. To skłócenie stronnictw było doskonałym zerwaniem dla klasy posiadających. Właśnie przy tej mnogości stronnictw w dawnych czasach senat wpły- wał na zniekształcenie układu sił politycz- nych z korzyścią dla stronnictw reakcyj- nych.

Im bardziej na prawo, tym stosunkowy udział senatorów w porównaniu do ilości głosów jest większy, co całkowicie uzasa- dnia tęsknotę reakcji i w czasach dzisiej- szych za senatem.

Gdy w dziedzinie gospodarczej i społe- cznej Polska kroczy już od dwóch blisko lat zdecydowanie po wielkim szlaku po- stepu, nie może być mowy o tym, by w dziedzinie ustroju politycznego miało być inaczej.

Jeśli wypowiadamy się przeciwko sena- towi, to nie tylko dlatego, że jednozbowy parlament w najbardziej bezpośredniej for- mie wyraża wolę narodu i usprawnia pra- cę ustawodawczą, ale i dlatego, że robo- tnicy, chłopcy i inteligencja pracująca nie mają potrzeby zabezpieczać swej władzy, gdyż nie boją się niespodzianek w przy- szłości, skoro stanowią olbrzymią więk- szość narodu.

W obecnej maszej rzeczywistości senat byłby niezgodny z duchem czasu, szkodli- wy i zbędny.

Adam Wendel

Prenumerata zapewnia regularne otrzymywanie „Kuznicy”. Zaprenu- merować można w każdym urzędzie pocztowym. Prenumerata kwartalna wynosi 75 —

*) B. Russel: Widoki i poglądy nauki współ- czesnej.

*) por. B. Russel: Poglądy i widoki współ- czesnej nauki.

zbyt zmaterializowaną, zbyt przesiąkniętą pierwiastkami tylnymi, organizacyjnymi, zewnętrznymi, ponieważ tkwi w niej niebezpieczeństwo hipertrofi techniczności nad duchowym rozwojem osobowości, ponieważ wgnich praca nie stanowi naczelną wartość człowieka: albowiem życie umysłu i życie miłości przerasta pracę w duchowym dostojeniu. Kiedy jednak pytamy, jak uwolnić się od przymusu pracy i jak znaleźć życiowe podstawy dla duchowego dostojenia, wskazują nam średniowiecze techniczne, jako harmonijną syntezę pracy i rozwoju duchowego. Mają oni szacunek dla pracy ręcznej, uważają, iż jest ona mniej niewolniczą, mniej zależną od maszyny, wolną od zabójczej monotonii, że wykonywana jest za popędem ducha, dzięki czemu wyciska ona na wszelkich wytworach indywidualne piętno, typowy znak nieśmiertelności.

Może Biedziąjów popadać w zachwyt nad społeczną harmonią średniowiecza, lecz świadectwa historii mówią dokładnie, czym było życie ludu tego okresu. Ci sami ludzie, którzy budowali katedry, przyglądali się bez cienia współczucia straszliwej nędzy i cierpieniem ludności niewolniczej, która nie miała dostępu do żadnych dóbr kultury: ani duchowych, ani materialnych. Wytwory ręcznej pracy są dziś, jak były kiedyś, przedmiotem zbytku, produkcja rzemieślnicza musiałaby z konieczności ograniczyć użytkownictwo do nikomej ilości osób, a zachwalany powrót do natury oznaczałby śmierć głodową 90 proc. mieszkańców krajów cywilizowanych. Masowość produkcji jest więc niemożliwa. Zaspokojenie zaś masowych potrzeb jest możliwe w warunkach zapewniających jak największą taniość i szybkość produkcji. Czy jest to możliwe wbrew zasadzie podziału pracy, która jest warunkiem taniości i szybkości produkcji? Czy w tych warunkach jest możliwe pozostawienie pełnej swobody rzemieślnikowi, by produkował wg. własnej fantazji i w ilości, na jaką będzie go stać?

Niechby spróbował jeden z drugim amator i apologeta pracy ręcznej ustawić bez ruchomych dźwigni, ręcznie, przy pomocy szczyptec rozpalone do białości bloki żelaza na dnie pieca hartowniczego! Niechby stanął tak wśród buchającego żaru, on, wielbiciel powrotu do średniowiecza, który trzymając się w przyzwolonej odległości podziwia grę światła na skórze robotnika! Może zmieniliby wtedy stosunek do pracy ręcznej!

6. CZY MECHANIZACJA PACY DUSZE?

Zwolennicy pracy rzemieślniczej, wykonywanej „za popędem ducha”, przestrzegają przed niebezpieczeństwem monotoni pracy zmechanizowanej, jak gdyby praca jednostajna i powtarzająca się została dopiero teraz wynaleziona. Tkacz dawnych czasów przy krośnie drewnianym spędział swoje życie na powtarzaniu jednego i tego samego ruchu, w warunkach urągających najprymitywniejszym wymaganiom. A czyż nie było i nie jest monotonne milczenie zboża cepem? Ale, oczywiście, są prace rzemieślnicze, przekazywane z rąk przadziada, pozbawione jednostajności i nie monotonne. Np. praca kowala wiejskiego. Odnacza się ona różnorodnością i wolnością, odbywa się w zaciszu wiejskim, bez pośpiechu i przymusu. Lekarze mówią o tej pracy, że wywołuje „jednostronny” rozwój mięśniowy, a my widzimy kalekę o wygiętych plecach i podniesionym prawym ramieniu. Praca niemonotonna ma więc także swoje usterki.

A cóż można powiedzieć o dostojnym ruchu siewcy? Czyż nie jest on monotony, gdy powtarza się go niezliczoną ilość razy, czyż nie jest zamknięty w owych miarowych jednostajnych krokach, którymi trzeba przemierzać zagony w ciągu wielu dni?

Ludzie zdają się interesować tylko dekoracyjną i symboliczną stroną tego ruchu. Michelet, którego już zastanawiały te ważne zagadnienia, pisał nabiadawczy nad jednostajnością pracy przy maszynach w tkalniach mechanicznych.

„Praca samotna tkacza daleko mniej była przykra. Czemu? Bo mógł marzyć. Maszyna nie pozwala na żadne marzenia, żadną rozrywkę. Mistry średniowiecza, pracując, zawadzili cichutki, bądź myślą powtarzali jakąś kotyśankę. Rytm członka, przerezanego równocześnie w tę lub ową stronę jednocześnie się z rytmem serca. Wieszczorem nie tylko płotno było utkane ale i pieśń jakaś wysnuta lub skarga.”

Dziś rzeczywistość nie jest to już do powtórzenia. Wszystko się już rozpadło, kto inny układa obecnie skargę, kto inny snuje pieśń i kto inny zawodzi. Spiewać nikomu się nie zabrania. Ale robotnicy mniej może śpiewają za to chętnie wymieniają swoje myśli. Tkacze w czasie pracy nie są zawadzą cichutki, ale głośno myślą nad strzałkami lub udoskonaleniem maszyny tkackiej. Żadna bowiem z prac nie daje tyle swobody umysłu co praca automatyzowana, t. j. taka, przy której ruchy mogą być zupełnie zapomniane. Związek między tymi ruchami, a działaniem umysłu oraz wpływ wzajemny tych czynności automatycznie zostaje przerwany. W ten sposób stają się niemożliwymi wszelkie konsekwencje

charakteru umysłowego, które obserwatorzy powierzchowni, obcy prawdziwej atmosferze pracy, przypisują powtarzającym się rytmicznie wysiłkom. Trzeba nauczyć się cenić tę swobodę myśli, którą daje długie przyzwyczajenie do ruchów, powtarzających się przez czas dłuższy i wykonywanych wreszcie najzupełniej machinalnie i nieświadomie. I trzeba wreszcie zadać pytanie, jak wiele jest tych jednostajnych ruchów. Technik, uważnie obserwujący potrzeby pracy, której wykonanie wymaga tylko kilku elementarnych ruchów, wymyśli wkrótce urządzenia automatyczne mogące zupełnie zastąpić człowieka. (H. Dubrenil: Człowiek czy maszyna). W istocie bowiem jest tak, że powtarzająca się praca zabija własną monotonię sama przez się, ponieważ jest w stadium ciągłej ewolucji i ulega przez to nieustannym ulepszeniom. Okoliczność ta sprawia, że robotnik, któremu praca była powierzona, otrzymuje inne zajęcia, a krokożwiek zna prawdziwe życie fabryki wie dobrze, że zmiana ta nie zawsze witana jest radością. W gruncie rzeczy tylko w literaturze i na filmie udaje się człowieka zmienić w automat.

Wszystko, co ma swe źródło w badaniach naukowych, musi podlegać ciągłej ewolucji. Technika, będąca konsekwencją rozwoju nauk, powoduje przeobrażanie się niestanie pracy. Zmiana sposobu pracy powoduje przekształcanie się form gospodarki i życia społecznego: zmniejsza się czas pracy, zmniejsza się zużycie siły ludzkiej, praca przestaje być katogą, przykuwającą człowieka na 16 godzin do warsztatu, zwiększa się liczba ludzi, którzy mogą korzystać z urządzeń cywilizacyjnych i coraz mniejsza staje się liczba tych, którzy walczą z surowcem. Inżynier francuski Perronet, który podsunął Adamowi Smithowi pomysł podziału pracy, stał się natchnieniem ekonomistów, którzy organizację pracy uważają za podstawę współczesnej produkcji. Bez tej zasad nie ma drogi do zaspokojenia olbrzymich potrzeb wyzwala-

jących się mas ludowych. By to osiągnąć, trzeba się podjąć bardzo wielu prac, a więc również i takich, które wydają się dla oczu profana przerażające i niwelujące osobowość człowieka, są zaś najzupełniej zwyczajne dla tych, którzy je wykonują.

7. TWORZENIE WARTOŚCI I ORGANIZOWANIE POSTĘPU

Wszyscy ci, którzy kwestionują całą współczesną cywilizację, i którzy posuwają się do kategorięcznego jej potępienia, nie zdają sobie chyba sprawy, że sami są tu współwinni, gdy korzystają z codziennych dogodności, jakich dostarcza nam życie dzisiejsze. Potępiamy maszyny a jednocześnie głosimy, że maszyny powinny uwolnić człowieka od wszelkiej pracy materialnej i wyzwolić jego pęd ku rozwojowi duchowemu. Są tu jakieś fałszywe założenia. Albo technika zabija ducha człowieka i nie można wiele po niej oczekiwać, albo dodaje duchowi temu skrzydeł, otwierając perspektywę takiego rozwoju i dobrobytu, o jakich nie śniło się naszym filozofom. Nie cenią oni jednak dostatku i wygod, które przynosi współczesna cywilizacja, ponieważ gwałcą one onotę umiaru i ascezy, niedłaczne atrybuty uduchowionej kultury. U nas jednak jest sporo niedostatku i sporo cnotliwych z przymusu, a przecież nie można być pewnym, czy jest u nas więcej kultury, niż w Ameryce. Żyjacej notorycznie w dostatku i wygodzie. Ale w Ameryce geniusz techniczny osiąga inne szczyty, niż u nas. My kochamy się w wartościach muzealnych, gromadzimy skarby, które budzą zachwyt, chociaż nie czynią życia lepszym, chociaż żadnej nie przynoszą ulgi losowi ludzkiemu. Tymczasem człowiek, umiejący udoskonalić wszystkim jakiś przedmiot o wartości cywilizacyjnej, jest nie tylko równie wartościowy jak artysta, ale właściwie on jest podmiotem kultury, warunkującym byt i rozwój ducha. — on jest pierwszą i podstawową siłą, tworzącą kulturę. Usunąć człowieka, jakie istnieją w naszej wyko-

jonej świadomości, między dobrami materialnymi a duchowymi, w rzeczywistości bowiem różnic tych nie ma. Rozwój techniki wyzwala jednostkę z niewoli natury, postep techniczny otwiera erę prawdziwej wolności człowieka. Badania psychotechniczne, które stosują powszechnie szkoły zawodowe i wielkie zakłady przemysłowe, są wyrazem szacunku naszej cywilizacji dla duchowej struktury człowieka, są zaprzeczeniem niwelującego działania pracy współczesnej, która rzekomo niszczy ludzką osobowość. Jest wprost przeciwnie. Dopiero wysoki rozwój techniki naukowej umożliwia ocenę ludzkiego umysłu, jego zdolności, zainteresowań i umiowań. Wszelkstronny i pełny rozwój osobowości staje się możliwy do zrealizowania dopiero w erze rozwoju techniki, rozporządzającej skutecznymi środkami, przepojonej troską o człowieka. Dopiero teraz stanie się może człowiek „panem stworzenia”. Technika ułatwia mu pracę, eliminuje jej trud i ciężar, jednocześnie technika powołuje i ułatwia współdziałanie, które kruszy przepaść między klasami, tworząc spójność zbiorową, w ramach zataczających coraz szersze kręgi organizacji. Zmienność, aktywność, praca, postep techniki i rozwój organizacji są siłą wyzwalającą w historii ludzkości.

Wiek złoty jest przed nami, jak mówił Saint-Simon i wszystko jest do zdobycia, nawet „epoka Harmonii”, o której marzył Fourier. Ale czas uwolnić człowieka z opresji fikcyjnej duchowej autonomii, w przeciwnym razie czujemy rękami mamy budować zbiorowy postep i bogactwo umożliwiające rozkwit powszechnej kultury?

Praca jest źródłem wszelkich wartości, technika — narzędziem ich upowszechnienia. Od współdziałania między ludźmi zależy sprawiedliwy podział wszystkich dóbr. Przystosowując jednostkę do życia w ramach nowej kultury, musimy przygotować ją nie tylko do tworzenia wartości, ale i organizowania postępu.

Andrzej Baculewski

EWA KORZENIEWSKA

Prozaicy i okupacja

Jest rzeczą aż nadto zrozumiałą, że wojna i okupacja stały się tematem wielu utworów literackich, nie tylko u nas, ale na całym świecie. Wydaje się, że w pierwszym okresie powojennym materiał ten najłatwiej mógł być przetransportowany na poezję — trudniej na powieść — gdyż ten rodzaj wymaga już pewnej perspektywy i przemysłu, znajdujących odbicie w świadomym komponowaniu większej całości.

Trudność dostarczenia czytelnikowi takiej powieści, która by potwierdziła jego nadzieje, ma swoje źródło jeszcze i w tym: że okres okupacji był rzadkim okresem w historii, kiedy normalne osobiste życie i zainteresowania człowieka stały się nieważne i marginalne, wobec grozy sytuacji i wobec zbrojowych, bardzo silnych uczuć. Cały ten okres, w którym jednostka nie znaczyła nic, w którym nawet naród był chwilowo zupełnie bezbronny — posiada swoisty patos, zbliżony do patosu kataklizmu przyrodniczego. Okres ten jest jeszcze w naszych wspomnieniach i na rzeczach niezwykle żywy i ciąży nad nami raczej jako doznane uczucie, niż zobiektywowany obraz.

To wszystko sprawia, że trudno jest pisarzowi o takie pokazanie wojennej rzeczywistości, które by nas zadowoliło, które by ujmowało sprawy najbardziej istotne i umiało je przedstawić z dostateczną siłą i powagą.

Przeżycia związane z tragedią całej zbiorowości, rzeczywistość, której stałym atrybutem było cierpienie i śmierć, nie mieszczą się dla nas w kategoriach pojęciowych, wchodząc w zakres kryteriów moralnych. Dlatego pewne sposoby postawienia zagadnienia przez pisarzy musimy odczytywać jako niewłaściwe. Jako niewłaściwe odczylibyśmy robienie z motywów prześladowań niemieckich powieści kryminalnej — stosunkiem niewłaściwym wydaje się wysuwanie na plan pierwszy przyżycie i doznanie jednostki. Oburza nas wreszcie — nieomal jako nieuczciwość wobec historii — traktowanie wydarzeń z okresu okupacji jako argumentów potwierdzających pewne tezy autora, bądź też jego akcesoriów dla osobistych komplikacji wewnętrznych postaci literackich.

Doskonalem przykładem takiego ilustracyjnego traktowania przeżyć z okresu okupacji jest nowela Kornela Filipowicza „Kłamstwo” („Odrodzenie” Nr. 5). Autor zastanawia się nad zagadnieniem, czy kłamstwo może być usprawiedliwione względami „wyższej natury”, a w.c. jak w tym wypadku? Wskazuje przykład dla żony konającego. Lekarz świadomie kłamie, widząc rozpacz rodziny i „obciążony uczuciem czegoś niedogodnego, co poplekał, pełen niesmaku i niepokoju próbuje rzucić z siebie brnąc w rozmowę o polityce, wojnie, frontach i zniszczonej Warszawie, pałac już drugiego papierosa z kole i szukając rozpaczliwie dokoła siebie jakiegoś tematu, który by mógł rozwiązać niewygodne po-

łożenie etyczne w jakie się wpędził”. Wreszcie rozwiązanie takie znajduje: „Przecież to jego własna historia a raczej tragiczna historia jego najbliższych, których utracił w czasie powstania”. Tu następuje opowieść o przeżyciach rodziny doktora w czasie powstania i znowu pojawia się „dobroczynne kłamstwo”, skazujące zresztą męża zamordowanej przez Niemców kobiety na dobrowolne przyłączenie się do transportu jeńców, w nadziei, że w Niemczech znajdzie ukochaną żonę. Ta historia uspakaja sumienie skrupulatnego lekarza, który wreszcie z ulgą czuje, „że stworzył koło siebie luz psychiczny”.

Nie rozważając tutaj wartości literackiej noweli — warto poruszyć zagadnienie, czy takie traktowanie rzeczywistości wojennej jest słuszne i celowe? Czy ma się w ogóle prawo, dla rozstrzygnięcia jakiegoś drobnego konfliktu, brać motywację z zagadnień o tyle przerażających jego zakres? Zdać by się mogło, że dla każdego człowieka, a zwłaszcza dla pisarza, sprawa ustalenia wartości jest sprawą pierwszorzędną wagi. Rzecz o tyle groźniejsza, że nowela Filipowicza jest może najbardziej sympatyczna, ale nie jest bynajmniej zjawiskiem odosobnionym w sposobie traktowania rzeczywistości wojennej.

W noweli „Niemiecki dzień” (Odrodzenie Nr. 11) Maria Jarochońska przedstawia szpital w jednym z dni powstania warszawskiego. Przynoszą tam rannego Niemca, „i teraz niespodziewanie siostra Urszula przejęta meką tego obcego człowieka ze zmiażdżonymi nogami przebaczyła swemu odległemu ojczymowi”. Tak rozpoczyna się fragment opisu reakcji siostry szpitalnej na widok rannego. W tego typu skojarzeniach myślowych i uczuciowych, skojarzeniach bardzo typowych dla współczesnych utworów, jest coś zakłamanie wobec siebie lub innych, czy też jakaś fałszywa maniera literacka, pozująca na oryginalność i subtelność psychologiczną.

Te właściwości, uszlachetnione klasą pisarską, posiadają również nowele Andrzeja Krytyka (Kott, Wyka) nowele Andrzeja Skrzyżniaka (Krytyka) i przy tym jeszcze bardzo konwencjonalne literacko przez zestawienie piękna tocy i śpiewu słowika ze „złamaną duszą” pozostawia wrażenie jakiegoś nieporozumienia. Czy chodzi tu znowu o analizę przeżyć? Co jest ważne? Co było ważne w czasie wojny? Czyżby Pawlak był miejscem objawienia się wartości moralnych, lub terenem odpowiednim dla przemysłu i uporządkowania życia wewnętrznego? Z ram kompozycyjnych wymykają się bowiem i inne motywy, mogące uzasadnić takie wątpliwości czytelnika. Oto Anna, która cofa się wspomnieniami do odległych paryskich czasów swego pierwszego małżeństwa, która oczekując w przejściówce snuje sentymentalne rozważania: „Nagle teraz zrozumiała jest sama z sobą... Cóż to znaczy? Uczęła w sobie cichutki, wewnętrzny tok innych myśli, jakgdyby innego życia”. Te i wiele innych mo-

strumień obcych myśli. Było to przejmujące fizyczne niemal uczucie, jak gdyby wrażliwy w niego nowy, nieznaną organizm i powoli nabierając życia stawał się niezależnym człowiekiem. Tym więc usilnie starał się odciąć od wszystkiego, co działo się dokoła. To ostatnie zdanie jest niezwykle charakterystyczne nie tylko dla Smoly — wyraża ono bowiem stosunek wielu utworów, czerpiących z rzeczywistości — a w istocie, pragnących się od niej uwolnić jakimś „skokiem wzwyż”, właśnie w strefy konfliktów wewnętrznych.

Gdyby próbować z historyczno-literackiego punktu widzenia zbadać to zjawisko, to kto wie, czy nie udało by się stwierdzić, że nad pisarzami ciąży po prostu moda psychologicznego pogłębiania postaci. Moda ta wyraża się w manierze już przed wojną — obecnie w zestawieniu ze wstrząsającą rzeczywistością wojny — wykazuje zdecydowane bankructwo.

Jak dotychczas okupacja niemiecka w Polsce znalazła swój wyraz w dwóch większych całościach: „Kracie” Gojawicyńskiej i „Dymach nad Birkenau” Szmajewskiej. Tematem „Kraci” jest zbiorowe, więziennicze życie kobiet w t. zw. Serbli na Pawlaku. Zdawało by się, że takie ograniczenie tematu powinno stworzyć naturalne ramy kompozycji powieści. Jednak niestety, nie tworzy. Najwyraźniejszym ich przekroczeniem jest epilog powieści, który rozgrywa się już poza bramą więzienia i opisuje powrót do życia Joanny, jej myśli i reakcje uczuciowe. Słowa autorki: „Och Niemcy — co oni z nami zrobili — szepnęła — co oni z nami zrobili. Tak, jakby zabito w niej instynkt życia, nie miała już lez, nie odczuwała już piękna tej nocy, ani uroku światła, ani rozległości nieba, czuła iż jest okaleczona, znieczczona, ograbiona z wiarą... — te słowa i wyjście epilogu poza ramy Serbli świadczą znowu o przetruceniu sprawy w dziedzinie przeżyć i doznaj jednostek. Grupa więzienna staje się czymś, co się odrzuca, aby boleć nad załamaniem psychicznym kilku, czy nawet kilkunastu kobiet. Takie zakończenie powieści, przy tym jeszcze bardzo konwencjonalne literacko przez zestawienie piękna tocy i śpiewu słowika ze „złamaną duszą” pozostawia wrażenie jakiegoś nieporozumienia. Czy chodzi tu znowu o analizę przeżyć? Co jest ważne? Co było ważne w czasie wojny? Czyżby Pawlak był miejscem objawienia się wartości moralnych, lub terenem odpowiednim dla przemysłu i uporządkowania życia wewnętrznego? Z ram kompozycyjnych wymykają się bowiem i inne motywy, mogące uzasadnić takie wątpliwości czytelnika. Oto Anna, która cofa się wspomnieniami do odległych paryskich czasów swego pierwszego małżeństwa, która oczekując w przejściówce snuje sentymentalne rozważania: „Nagle teraz zrozumiała jest sama z sobą... Cóż to znaczy? Uczęła w sobie cichutki, wewnętrzny tok innych myśli, jakgdyby innego życia”. Te i wiele innych mo-

tywów, natrętnie zbaczających w stronę psychologizowania i egocentryzmu załamują próbę realistycznego przedstawienia rzeczywistości.

Partie powieści ściśle związane z życiem na Serbii też nie oddają tego czym był Pawiak w życiu Warszawy i Polski, ani nie posiadają dostatecznej siły dramatycznej, aby pozostać w pamięci jako karta z dziejów martyrologii. Jest kilka fragmentów katowania i śmierci, dość silnych, aby wyrastać ponad całość powieści, ale to nie wystarcza dla odtworzenia grozy Pawiaka jako kaźni, grozy, którą znamy z szeptanych opowiadań. U Gojawczyńskiej są Niemcy i Polki — nie ma zetknięcia się dwóch wrogich rzeczywistości, polskiej — buntu, oporu i nienawiści — i niemieckiej — planowo zorganizowanej sily terroru i ślepej bezduszości maszyny. To sprawia, że powieść Gojawczyńskiej — przy wszystkich swoich zaletach podkreślanych przez recenzje, które ją analizowały z innego punktu widzenia — nie daje nam realistycznego obrazu z okresu okupacji, na jaki czekamy.

Książka Seweryny Szmaglewskiej „Dymy nad Birkenau” jest wyrazem kraciowo przeciwnego stanowiska w stosunku do utworów omawianych. Jest ich przeciwieństwem: w jasno i ostro zarysowanej postawie wartościującej kontrastuje z nimi w sposobie przedstawienia rzeczywistości wojennej. Szmaglewska umie oceniać i klasyfikować, w jej ujęciu artystycznym sprawy najdonioślejsze znajdują najsilniejszy wyraz. Epidemia tyfusu, masowe uśmiercanie Żydów (Cyklon) oczekiwanie wyzwolenia, to najmocniejsze epizody książki. Dymy z krematoriów, stały atrybut życia w obozie, są nie tylko motywem artystycznym — kompozycyjnym, lecz wysuwają się na plan pierwszy jako rezultat sprawiedliwej oceny tego, co było w Oświęcimiu istotnie najtragiczniejsze.

Z tej samej troski o sprawiedliwe pokazanie rzeczywistości wynika brak indywidualnego obrazu człowieka. W „Dymach nad Birkenau” nie pojawia się jednostka. Czasem tylko przesunie się przed oczyma czytelnika jakaś sylwetka oznaczona imieniem i nazwiskiem, ale nie rozrasta się w indywidualność, ani w typ. Generalizacja, która zwłaszcza w powieściach epickich przybiera formę typów i typowości wybrzezi — tutaj posuwa się tak daleko, że przedmiotem opisu staje się przede wszystkim zbiorowość, traktowana jako abstrakcyjna całość — niekiedy nawet więcej — jako symbol całości. W siemulowaniach tego rodzaju: „Kolumny wracają z pola. Z pochylonymi głowami błądzą przez śnieżne zasy pyłując z sobą do obozu nieodstępny swój smutek” — „widać jeszcze masy ludzkie, ale tuż obok pojawia się dalsze uogólnienie: „Stoją pasiaki, pasiaki, pasiaki i numery naszyte na lewej piersi. „W tym wypadku zatracą się już nie tylko człowiek ale i ludzie. Ta ciekawa ale niebezpieczna dla autora metoda opisu, w książce przedstawiającej Birkenau, znajduje swe głębokie uzasadnienie, gdyż wyraża stosunek Niemców do więźniów i charakteryzuje życie wielotysięcznej rzeszy numerów. Jednakże metoda ta stosowana przez cały ciąg opowieści, nie uzupełniana i nie rozszerzana choćby epizodami z życia i doznań poszczególnego człowieka lub mniejszych grup ludzkich pozostawia wrażenie pewnego braku.

Autorka zajmuje konsekwentne stanowisko obserwatora, który nie wie, co przeżywa jego towarzysz. „Nie wiadomo, jaki jest świat biedronki, chodzącej dzień cały po liściach. Nie wiadomo, jaki jest świat więźnia, kulającego kilofem na grobla gline, albo noszącego darń”. Postawa ta jednak nie wyklucza faktu, że autorka dostrzega silne uczucia zbiorowe, takie jak lęk, tęsknota, smutek, rozpacz, — uczucia te jednak pokazane w oderwaniu od konkretnego człowieka stają się abstrakcyjnymi uosobieniami. „Tam po leśnych zbożach i słonecznych golobrzęgach, po skalnych upłazach, piargach i zlebach chodzi utęskniona swoboda. „Uosobienia takie prowadzą do potrzebnego wobec surowej prawdy książki, — liryzmu, a niekiedy nawet i fałszywej nieomal młodo - polskiej nastrojowości”. Jakiś duch ciemności błąka się pomiędzy blokami Birkenau, nogami grubo w szmaty owiniętymi, gnioicie nigdy nie zamarzające błoto, wciągając wszystko w siebie i śmieje się cichym chichotem”.

Ograniczenie się wyłącznie do wiedzy o zewnętrznych zyciu człowieka prowadzi do zbyt licznych pytań retorycznych „Kim jesteś więźniu poruszający się w szarości, przewożący dzień cały piasek z jednego miejsca na drugie. Dlaczego spełniasz tę niepotrzebną pracę. Gdzie będziesz kiedy różę zakwitną?”

Temu działaniu nastrojowości, emu subiektywizmowi autorki podlegają opisy przyrody. Przyroda tutaj jest piękna, która uspokaja, jest świadkiem i wskaźnikiem mijania czasu, jest wreszcie miejscem rzutowania ogólnych tęsknot i pragnień. „Góry... wydają się bliżej niż zwykle; zda się, że idą ku drutom, aby swą zaklętą swobodą, kryjącą się we wszystkich górach, swą legendarną zbójnicką swobodą ofiarować stojącym”.

Szczęśliwie dla całości utworu motywy tego rodzaju zdarzają się dość rzadko i świadczą niewątpliwie o tej wielkiej trudności

przed którą staje pisarz, gdy chce pokazać tylko i jedynie zbiorowość. Świadczą one zresztą również o subiektywności autorki, który wprowadzić unika natrętnego wysuwania się w charakterze jakiegoś bohatera wydarzenia, ale który istnieje, czuje i ocenia.

„Dymy nad Birkenau” są charakterystycznym dla naszych czasów autentykiem, zrodzonym ze straszliwej prawdy. Książka ta ma ambicje artystyczne i realizuje je w sposób w tym wypadku właściwy (poza partiami lirycznymi) podporządkowując sztukę pisar-

KAZIMIERZ BRANDYS

Książka Sędziego Soplicy *)

„Kiedy w ostatnim dziesiątku lat w XIX tu i ówdzie budzić się zaczął znowu zwrot ku ludowości, gwarze, strojom „bajecznie kolorowym” itp., mianowicie jako przejaw zainteresowania sztuki modernistycznej — od razu ze zgrozą i oburzeniem powstał na to ze skrajnego skrzydła radykalizmu naszego W. Nałkowski. Postępowiec, integralny ewolucjonista, widział on w tych przejawach wyraz wsteczności, nawrót do złudzeń Rousseau’a, zdrożne bałamuctwo nowej cyganerii. Potępił więc szorstko i kategorycznie „chłopomanstwo”, to „które chętnie ubiera się w sukmanę i łapcie, zarzuca grzebień i mydło jako wymysły niemiecko-szatańskie, wpada w świątobliwą ekstazę na widok chłopskiej budy i chłopskich wierszydel, przypisuje ludowi niebywałe cnoty i idealność uczuć... Temu to prądowi przypisał nałczy, że w dobie ostatniej głównym kierownikiem filozoficzno-estetycznej myśli polskiej jest Sabała, dostawca żętycy dla chorych żoładków i mądrości dla chorych lub uwsteczniionych w rozwoju mózgów”. Jakżeż tu po tak zdecydowanym orzeczeniu wysokiego autorytetu zajmować się „wierszydłami” chłopskimi i traktować je jako przejaw życia literackiego, wystawiając na kompromitację swą „uwstecznością w rozwoju umysłowości”?

Tak ironicznym wstępem rozpoczyna prof. St. Pigoń swą ostatnią pracę o literaturze ludowej, przytaczając głos Nałkowskiego, jako oczywisty i zabawny przykład błędnej postawy „postępowca”.

W części I książki p.t. „Publicyści i pamiętnikarze” czytamy dalej:

„Czysta ziemianńska literatura staro-szlachecka — trwała niedługo. Przez podroże, przez kształcenie przez obowiązującą humanistyczną atmosferę środowisk umysłowych nasiąkającą zwano prądami kulturalnymi zagranicą, pisarze ówczesni rychło i w trybie przyspieszonym zatracali twórczej: ich zasób obrazowości, rodzaj nastawienia umysłowego, przetwarzali się ją wcześniej i odswojszczać na rzecz cudzoziemczyzny, urabiać na typ obowiązującego ogólnie konwensu kulturalnego. Ziemiańskość więc tamtej literatury ulegała powolnej redukcji, ustępując miejsca znamionom międzynarodowym, ponadstanowym, jakbyśmy dziś powiedzieli: inteligentkim. Pisarze ludowi z natury rzeczy silniej tkwią w swej rodzimej surowiznie, mniej są narażeni na niebezpieczeństwo odswojszczenia. Wpływ szkoły zbyt jest krótkotrwały, by mógł przekształcić aparat ich umysłowości, nowoczesne prądy kulturalne kosmopolityczne przechodzą poza wsią odległymi stronami, sięgnąć jej nie zdołają... Rodzimość zatem i odrębność dzisiejszej literatury ludowej wydają się dobrze zawarowana w warunkach chłopskiego bytowania”.

Wacław Nałkowski zdumiałby się, zapewne, czytając te słowa, w których świe-

ską prawdzie obiektywnej. Prawdą zaś jest zarówno potworność Oświęcimia, jak i szlachetna postawa człowieka, który wchodząc do obozu „Musiał sobie stworzyć nowy stosunek do rzeczywistości, w którym podstawa będzie jego wewnętrzna prawda”.

Te wszystkie zalety książki Szmaglewskiej sprawiają, że wysuwa się ona na pierwszy plan, jako najciekawsze i najgłębsze z dotychczasowych ujęć rzeczywistości lat wojennych.

Ewa Korzeniewska

I dziś nieco tego „konwensu”), pociesza się w dalszym ciągu, że pisarze ludowi dzisiejsi „mniej są narażeni na niebezpieczeństwo odswojszczenia”, że „wpł w szkole jest krótkotrwały” a „nowoczesne prądy kulturalne kosmopolityczne przechodzą poza wsią, sięgnąć jej nie zdołają”. Autor ubolewa następnie nad dolą człowieka z miasta, który „zdrój wody żywej zamknął w rury” (strzeżcie się rur, kłeski naszego wieku!) i podkreśla ów znamieny fakt, iż rozwój oświaty nie jest konieczną podniętą dla twórczości kulturalnej ludu.

A więc polska literatura ludowa ma rozwijać się zdala od kultury europejskiej, od światowych zdobyczy cywilizacyjnych, od nowoczesnych prądów, umysłowych (cudzoziemskie nowinki), od oświaty, od miasta...

Wiesz, aby tworzyć, musi być w szczelnej izolacji. Chłop może istnieć tylko „pod utwierdzeniem nieba”; jakież więc źródła w tym odosobnieniu udzielił zasilen twórczych literaturze ludowej? Pejzaż, strzechy i fujałka — bo nic innego nie pozostało.

Ten obraz kultury ludowej z okresu Sędziego Soplicy ma swe oparcie i współczynnik w obrazie społeczno - gospodarczym wsi, w jej obrazie z tegoż okresu. „Swojska”, „rodzima” i „nieskażona” literatura ludowa może rozwijać się tylko w „swojskich”, „rodzimych” i „nieskażonych” warunkach — w kurnej chacie, nie opodal gnojówki, na klepsku, w znojnjej walce prymitywnego narzędzia z ugiem.

Rolnik, którego wyręcza traktor, chłop, który słucha radia, który pracuje i mieszka w warunkach fermerów krajów zachodnich, lub korzysta z oparcia o nowoczesny kolektyw narodów radzieckich — nie będzie tworzył fujałkowych piosenek. Cywilizacja i kultura, to pojęcia, które u nas pragnie się dziś jeszcze rozrywać przemocą, rozdzielać gwałtem, na przekór prawdzie wiążącej je w filozoficzną i praktyczną spójność. Chętnie mówi się dla odróżnienia: cywilizacja materialna i kultura duchowa, stwierdzając rozróżnienie fałszywie sugerujące rozdzielenie i brak punktów styku: traktor swoją drogą, fujałką swoją drogą. Tymczasem traktor wyciągający ręczny plug i gnojówkę, wyciąca również fujałkę. Możemy wybierać: albo traktor i równouprawnienie kulturalne, albo gnojówka i swojski czar piosenki ludowej. U celu pierwszej perspektywy stoi Europejski wytworzący i konsumujący współcześnie dane dobra kulturalne, u krawędzi drugiego — buszmen z tam — tam i urokiem swego prymitywu. Tracimy coś na skutek pierwszego wyboru, ale w porównaniu z drugą możliwością tracimy niewiele. Wydaje się zresztą, że zdrowy rozwój społeczny nigdy nie ogląda się na niższe języki w obrocie postępu zjawiska i nie stwarza dla nich rezerwatów.

Tymbardziej więc przykre refleksje wywołuje się z lektury ostatniej pracy prof. Pigionia. W Polsce czyni się obecnie wiele, aby ułatwić warstwie ludowej udział w kulturze ogólnonarodowej i sensem obecnych reform jest obalenie wszelkich przeszkód na tej drodze. Jeśli więc dziś jeszcze żyje chłopski, który po długim czasie trawia wreszcie do słońca wykładowej, usłysz w niej zachęte ex cathedra do naclagnięcia siermięgi i słuchania śpiewu żywiołów z ręką na plugu, stanie mu się krzywdą. Jest to wpedzanie w folklor, marnowanie chłopskich sił twórczych. Nie wydaje się, aby można budować kulturę polską ze sztucznych działań: kultury ludowej i proletariackiej, podobnie jak dalsze ich drobiazgowość, „huculską, góralską, łowicką czy górniczą, hutniczą lub chemiczną — wydawałoby się” również bezcelowe. Wiele wskazuje na to, iż po okresie

tego dawne przestrogi nabierają charakteru nieomal wróżby. Nałkowski nie przecenił niebezpieczeństwa „chłopomanii”, w której dopatrywał się w swym czasie tylko mody inteligentkich sztylkowców spragnionych zastrzyku zdrowej surowizny, nie przewidując, że w pół wieku później moda ta znajdzie aprobatę w światopoglądzie społecznym, poparcie — nawet polityczne. Ale cytujemy dalej: „W mieście człowiek chce się uniezależnić, pisze prof. Pigoń, od ziemi odgradził się brukiem, czy asfaltem, od gromu zasłonił się piorunochronem, zdrój wody żywej zamknął w rury, do pracy pozamykał się w izbach i halach. Chłop zaś na wsi żyć musi wciąż bezpośrednio pod utwierdzeniem nieba... Zdany na łaskę żywiołów, związany z przyrodą jak żeglarz z okrętem, sam jeden w obszarach wszechświata, wciąż zwrócony być musi w stronę, gdzie ich pierwsza przyczyna i ich Władca. Dusza chłopska z urobienia wieków jest więc religijna, ma żywe wciąż odczucie bóstwa, z kornym uwielbieniem uznaje ustawiczną jego obecność w biegu świata... Rzecz napozór dziwna, ale przez to warta tym wyraźniejszego podkreślenia: nie wydaje się mianowicie, żeby podniętą taką i okolicznością podstawową (w twórczości literackiej ludu) miał być przede wszystkim szeroki rozwój oświaty... Narodziny nowszej literatury ludowej doszły do skutku właściwie mimo braku oświaty jeszcze w mroczkach grubego analfabetyzmu wsi”.

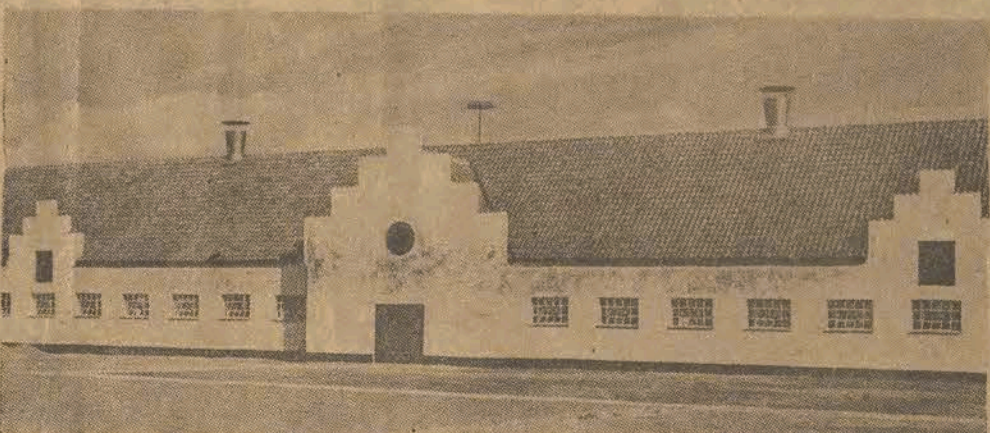
Nałkowski niewątpliwie uznałby przytoczone słowa za zręczną satyrę na pewien typ umysłowości już w jego czasach anachronicznej; uznałby je prawdopodobnie za światopogląd tolerancyjnej szlachty z początku swego wieku. Smutne, że dziś trzeba z nim w Polsce walczyć niejako na nowo, jakgdyby półtora stulecia zgubiło się w dziejach polskiego myślenia — jakgdyby wskrzeszono i postawiono przed nami Sędziego Soplice, którego świat pojęć zgasił między J. J. Rousseau a Saint-Simonem i który nie wiada systemem faktów, doświadczeń, sformułowań naszego czasu.

Reakcja oznacza dosłownie „działanie wsteczne”, „działanie odwrotne”. Koncepcje prof. Pigionia mamy prawo obzerzyć tym mianem: jest to działanie wsteczne, cofające myśl i rzeczywistość w ubiegły czas, pomijające postęp myśli i rzeczywistości. Mamy prawo tak sądzić, bo autor zdaje się w swej pracy nie przyjmować do wiadomości zdobyczy nowoczesnej myśli społecznej, nie tylko w Polsce ale i na obu półkulach. Wystarczy być czytelnikiem gazet, aby zrozumieć, że celem przemian społeczno-gospodarczych naszego stulecia jest równouprawnienie w rozwoju kulturalnym warstw ludowych i że nie tylko wrogowie folkloru dążą do uczynienia z chłopca wytwórcy kultury narówni z inteligentem. Raz jeszcze skontrolujmy tezy podanych cytatów: autor nieomal ubolewa, iż humanizm europejski skoził swojską czystości i „rodzimy kształt wyobraźni” staroszlacheckiej. Po sopliewsku utyskuje na „cudzoziemczyznę” i „konwens kulturalny” (przydobył się nam

*) Stanisław Pigoń. Zarys nowszej literatury ludowej. Kraków — 1946. Wvd. Zakł. Narod. Im. Ossolińskich



„Uduciowlona chata”.



„Materialistyczna obora”.

reformy chłop i robotnik będzie mógł uczestniczyć w tworzeniu wartościowej kultury polskiej. Zapewne o to szło Wacławowi Nałkowskemu i to kazalo mu szydzić z dekadentckiego „schłopiania narodu”. Niesłusznie też wydrwiwa prof. Pigoń przestrogi Nałkowskiego, — niesłusznie lecz konsekwentnie w ramach swego światopoglądu.

Światopogląd ten, zauważmy, przepojony jest solidarystyczną chęcią zgody klas i stanów, zgody sąsiedzkiej (aczkolwiek na pewien rodzaj sąsiedztwa autor patrzy z ukosa i dba tu o tęgi przedział: między wsią i miastem). O owej zgodzie sąsiedzkiej wspomina Pigoń przy znanej okazji: „Nie można zaprzeczyć, że w ruchu tym budzącej się chłopskiej świadomości, wiele spustoszeń porobiła zaraza klasowej nienawiści... Człowiek, stateczniejszy z publicystów ludowych odruchem tym nie udzielił aprobaty, starali się im przedwzdziałać w imię sąsiedzkiej zgody. Sprawa jednak nie poszła łatwo zwłaszcza w latach późniejszych, gdy do głosu doszły elementy młodsze, bardziej porywcze...”

Kolej więc na soplicowskie „Kochajmy się”. Sąsiedzka zgoda! Znamy ją z owych czasów, gdy słowa: reforma rolna, używane były wyłącznie jako nazwa ministerialnego resortu, niezłe się jeszcze pamięta ową sanacyjną zgodę sąsiedzka, gdy „elementy bardziej porywcze” nie miały możności słuchania wykładów profesorskich i pochwał dla „stateczności kmieci”, która w książce Stanisława Pigiona jest wielokrotnie używanym postulatem polskiego chłopca. Autor obarcza nim nawet Wincentego Witosa, którego twórczość określa ostrożnym rysem formalnym: Witos nigdy nie uprawiał literatury dla samej literatury, nie pisał dla artystycznej satysfakcji, samej chęci pięknego wypowiedzenia się. Nie uległ nigdy pokusie poetyzowania czy beletyzowania. Jest publicystą i statystą nade wszystko, natchnieniem jego bywa wyłącznie potrzeba publiczna”. Następują potem długie rozważania o „muskulaturze” stylu Witosa — ale o „muskulaturze” treści społecznej jego pism ani słowa. Witos jako stylist! Punkt widzenia niecodzienny, ale nie ten, którego oczekuje czytelnik. Jeśli natomiast prof. Pigoń dotyka działalności społecznej i politycznej Witosa, to przedstawia ją znów pod kątem „sąsiedzkiej zgody”: „Jest zasługą Witosa, że przez długie lata swego działalności publicznej wytrwale wyprowadzał ruch ludowy z ciasnego kręgu zastarzałych zawziętości... Ostatecznie... doszło za jego przyczyną do... oczyszczenia atmosfery w Stronictwie Ludowym... Nowy organ stronnictwa, „Płaski”, wolny od zaślepień demagogicznego warcholstwa, celował stale umiarem i kmiecią statecznością...”

Alé oto drugi przykład „kmieci stateczności” (z charakterystyki Macieja Szarka):

„Nie było w nim materiału na jednostronny zacietrzewienie: nie chciał się nigdy przyprząć do jednego tylko wózka.

Zaczął umieszczać utwory swe w piśmiech bezpartyjno-oświatowych (np. we „Włościaninie”); przystał potem na jakiś czas do ruchu organizowanego przez ks. Stojałowskiego, ale miał też łączność i z prawowierne katolickim „Krzyżem”, o co wśród niedawnych przyjaciół, gdy ks. Stojałowski wszedł w ostre nieporozumienie z duchowieństwem, wywołał przykre wyrzuty i potajanki. Po sformowaniu się Stronictwa Ludowego związał się z nim Szarek organizacyjnie i w szeregach jego pozostał do śmierci, mając „Przyjaciela Ludu” za główną swą trybunę. Nie przeszkadzało mu to jednakowoż i teraz współpracować ze zwalczającą tamto stronnictwo narodowo-demokratyczną Ojczyzną. Bronił się zawsze przed ciasną wyłącznością”.

Ciekawe, czy podobną wielostronność sympatii zalecałby prof. Pigoń pisarzom ludowym i dziś, w stosunku do obydwóch ugrupowań ludowych, czy też namawiałby ich raczej do „ciasnej wyłączności” w określonym kierunku.

Kazimierz Brandys

JERZY BURZYŃSKI

Wizyta w Szwecji

Sztokholm, wiosna 1946.

Zwiedziliśmy jedno z przedsiębiorstw szwedzkich. Należy ono do rzędu największych, jakkolwiek — co zaznaczam ostrożnie — są w Szwecji jeszcze większe od niego. Posiada ono 32 spółki akcyjne podporządkowane sobie, z tego 9 w samej Szwecji, poza tym w Anglii, Argentynie, Australii, Brazylii, Chinach, Danii, Francji, Finlandii, Holandii, na Jawie, w Meksyku, Niemczech, Norwegii, Stanach Zjednoczonych, Turcji, Unii Północnoamerykańskiej i Włoszech, a przed wojną posiadało je ponadto w Estonii, Czechosłowacji, Rumunii i na Węgrzech. Firma zbudowana jest w formie holdingu, powstała zaś w ten sposób, że jedna spółka akcyjna, np. w Szwecji, utworzyła inną, np. w Niemczech, w której wykupiła więcej, niż 50 proc. akcji, tak zwane przedsiębiorstwo — córka, te dwie utworzyły 3-cią, np. w Australii, w której wykupiły po 25 proc. akcji itd. Poza tym firma ma w całym szeregu dalszych krajów koncesje, licencje, biura sprzedaży itd. Organizacja jej jest podobna do organizacji koncernu Kreugera, który w Polsce jest znany. Dalej, firma ta jest monopolistą w całym szeregu krajów — poza nią istnieją jeszcze na świecie tylko dwa koncerny, które produkują to, co ona: jeden w Anglii i jeden w Stanach Zjednoczonych. Z koncernem angielskim, który jest zresztą słabszy od niej, współpracuje. Przed wojną był jeszcze trzeci konkurent, pewien koncern niemiecki — który w wyniku wojny został zniszczony. To było dla naszego holdingu zwycięstwo — strata zaś było to, że amerykański konkurent bardzo się rozrósł i stał się niebezpieczny.

Holdingu tego typu jest już oczywiście siła polityczna, może udzielać kredytu obcym państwom i w inny sposób wpływać na ich politykę, uzyskując dla siebie różne korzyści. Oficjalnie podany obrót koncernu za rok 1945 wyniósł prawie 200 mli. koron, czyli jedną dziesiątą przedwojennego budżetu Polski (a Szwecja przed wojną miała 6 razy mniej mieszkańców niż Polska). Oczywiście nieoficjalne obroty były dużo wyższe. W gabinecie dyrektora przedsiębiorstwa stoł głośnie, na którym oznaczone są sfery wpływów przedsiębiorstwa. Głośnie jest też samej wielkości i w ogóle bardzo przypomina ten, który widziałem poprzedniego dnia na filmie „Dyktator”. Bawił się nim Charlie Chaplin w roli Hynka — Hitlera. Przyszło mi na myśl, że dyrektor firmy w której byłem, jako członek wszechświatowej korporacji monopolistycznych kapitalistów, miał większe prawo umieścić ten głośnie u siebie.

Jak już jednak powiedziałem, holding, który zwiedzałem, nie jest największy w Szwecji. Szwecja jest bowiem potężnym eksporterem kapitału. To, że Ivar Kreuger, jak to się wyczuwa w rozmowach ze Szwedami, stał się czynny w rodzaju bohatera narodowego, który chlubnie zginął w walce z kapitalizmem amerykańskim, jest znamiennie dla najnowszego okresu dziejów Szwecji. Kapitały szwedzkie zagranicą stanowią w 1944 roku 3.372.000.000 — K. To powoduje, że przedsiębiorcy szwedzcy obruźnią część swego zysku ciągną z zagranicy. Z 200 mli. K. obrotu w 1944 r. (zaznaczam sumę obrotu a nie kapitału) owej firmy, która zwiedziłem tylko 70 mli. K. przypada na obroty w Szwecji, tak, że jeżeliby nawet kapitał ulokowany zagranicą dawał ten sam procent dochodu, co w Szwecji, to dwie trzecie swego dochodu firma czerpałaby z zagranicy. Oczywiście jednak dochód z kapitałów zagranicznych jest dużo wyższy, niż z kapitałów w kraju, po pierwsze dlatego, że przy stosowaniu systemu przedsiębiorstw — córek stosunkowo niewielkim kapitałem własnym można opanować obruźnie kapitały akcyjne, po drugie dlatego, że kapitał tylko wtedy lokuje się zagranicą, gdy tam daje dużo wyższe dochody, niż w kraju, a po 3-cie zaś dlatego, że zarobki robotników w Szwecji są dużo wyższe, niż w większości krajów innych.

Jednak dochody od zagranicznych kapitałów nie są jedyną formą, w której Szwecja ciągnie zyski z zagranicy. Dzięki prześcignięciu innych państw w tempie kapitalizacji, spowodowanym zresztą wyjątkowo dogodnym położeniem, przemysł szwedzki jest b. silnie zrationalizowany i zajmuje w wielu artykułach stanowisko zbliżone do monopolistycznego na pewnych obszarach Europy. Skutkiem tego może w transakcjach międzynarodowych narzucać dogodnie dla siebie stosunki cen artykułów eksportowych i importowych, a przedsiębiorcy szwedzcy poza normalną wartością dodatkową, bardzo wysoką dzięki daleko posuniętej mechanizacji — czerpią jeszcze z zagranicy coś w rodzaju renty monopolisty. Stosuje się to również częściowo i do dochodu z floty handlowej, zwłaszcza w czasie wojny.

Wskutek tego, że kapitaliści szwedzcy ściągają wartość dodatkową z robotników zagranicznych przy małej ilości własnych robotników (cała Szwecja liczy obecnie około 7 milj. mieszkańców), onlaca im się część tej super-nadwartości przeznaczyć na przekupienie tych własnych robotników, by sobie zapewnić spokój w kraju i dogodne warunki eksploatacji robotników zagranicznych, oraz żeby odciągnąć robotników szwedzkich od międzynarodowej solidarności klasy robotniczej.

To też kapitaliści szwedzcy stworzyli swoim robotnikom specjalnie dogodne, dużo

dogodniejsze niż w innych krajach kapitalistycznych, warunki pracy. Fabryka, która zwiedzałem, nie jest wprawdzie typowa dla całej Szwecji, gdyż rodzaj jej produkcji i niezwykłe wysokie stopień mechanizacji powoduje, że warunki pracy w niej są znacznie korzystniejsze, niż w innych przedsiębiorstwach szwedzkich. Biore jednak pod uwagę właśnie ją, gdyż uważam, że najlepiej jest dobierać przykłady jaskrawe.

Więc wszystkie sale tej fabryki są bardzo jasne, okna zajmują prawie całe ściany, wentylacja jest naprawdę nadzwyczajna — prawdopodobnie kaloryfery są wmontowane w wentylatory, 90 proc. robotników przy pracy siedzi — zasada jest, że leden robotnik pracuje przy jednej maszynie. U 90 proc. robotników praca polega na podsuwaniu różnych bardzo lekkich przedmiotów pod maszynę i naciskaniu różnych zuziczków, i nie wymaga najmniejszego fizycznego wysiłku i absolutnie nie jest cięższa, niż np. praca maszynistki w biurze.

Wszyscy robotnicy są bardzo porządnie ubrani. Miałem też możność zwiedzić mieszkania robotnicze. Wielu mieszka w 3-ch i 4-ro pokojowych mieszkaniach, umeblowanych standardowo, ale bardzo przyzwoicie. Zarobki wynoszą dla niewykwalifikowanych przeciętnie 300 K. miesięcznie — co stanowi trochę mniej, niż nasze przedwojenne 300 zł. Opieka społeczna jest bardzo szeroko rozwinięta.

To jest cena, za którą kapitaliści szwedzcy przekupili swoich robotników. Oczywiście przekupienie nie odbyło się w jakiś gładki i z góry w szczegółach uplanowany sposób. Każde kolejne polepszenie warunków pracy robotnicy zdobywali w walce. Przekupienie polegało na tym, że kapitalistom przez ustępstwa w dziedzinie ekonomicznej udało się skierować walke klas na tor ekonomiczny. W dziedzinie ekonomicznej kapitaliści ustępowali i popierali całym swym wpływem i wszystkimi środkami propagandowymi te ugrupowania robotnicze, które występowały z hasłami ekonomicznymi, najbardziej zaś zażądanie zwalczali te ugrupowania, które głosiły walke polityczną i poważnie pojmowały międzynarodowy charakter walke klas. Powtarzam, było to możliwe w Szwecji dlatego, że jej kapitaliści czepiali zyski przede wszystkim z wycisku robotników zagranicznych. Przy słabej pracy politycznej wśród robotników szwedzkich — kapitalistom udało się odnieść zwycięstwo na całej linii. W Szwecji powstała taka partia socjal-demokratyczna, której kapitaliści mogli bez specjalnie ostrej walke oddać większość Riksdagu. I rzeczywiście nie zawiedli się na swojej socjal-demokracji. Szwedzka partia socjal-demokratyczna od 1936 r., kiedy to zyskała większość, nie upaństwowiła, o ile mi wiadomo, ani jednego przedsiębiorstwa — nawet w taki sposób, jak to robi Labour Party w Anglii. Ba, cóż tu mówić o upaństwowieniu, gdy na przykład, na mocy dawnego kontraktu, rząd w Szwecji miał prawo wykupić całkowicie szwedzkie kopalnie rudy i zadeklarować to winien właśnie w 1945 r. a z prawa tego nie skorzystał, czyli nie zrobił nawet tego, co być może, zrobiłaby partia, która się nie nazywa socjal-demokratyczna. Od czasu do czasu mówi się oczywiście i w Szwecji coś nie coś o socjalizmie, ale tylko po to, by utrzymać robotników w przekonaniu, że oni w Szwecji rządzą. Nie robi się zaś w kierunku uspołecznienia nic.

Dalszym skutkiem braku politycznego programu u robotników szwedzkich jest wyłączne defenzywna ich postawa obecnie. Rozmawiałem z socjaldemokratami różnych kierunków — od najbardziej radykalnych do najbardziej umiarkowanych. Wszyscy jednym chórem powtarzali: „cała nasza troska obecnie jest utrzymać te zdobycze, któreśmy osiągnęli”. Wygląda tak, jakby podświadomie czuli, że zakres ustępstw, do których kapitalista dobrowolnie jest zdolny, jest bardzo ograniczony — i bali się, że gdyby popychali robotników do dalszych żądań, to mogliby się natknąć na ten próż, którym jest ustrój kapitalistyczny, a którego przejść nie

chca. To też jedyne hasła, które mogą wysunąć przed robotnikami, to „utrzymać stan obecny”. Również za obław braku zainteresowania dla reform społecznych można uznać zastanawiający fakt, że w Szwecji młodzież robotnicza stanowi na wyższych uczelniach tylko 2 proc. ogółu studentów, mimo, iż nigdzie bodaj nie ma ona takich warunków do studiowania.

Najbardziej jednak jaskrawym przykładem pokazującym dokąd zaprowadziła klasę robotniczą Szwecji skierowanie jej energii na walke ekonomiczną, a odciążenie od politycznej, stanowi stosunek do faszystowskich Niemiec. Jak już powiedziałem, socjaldemokracja stała się w Szwecji partia rządząca w 1935 r. i pozostała nią do dzisiaj. W 1939 r. Niemcy rozpoczęły zabójczą wojnę, której celem było osiągnięcie panowania przynajmniej nad całą Europą i słaszyzowanie jej. Klasa robotnicza całego świata zdawała sobie sprawę, że Hitler to jej największy wróg i śmiertelne dla niej i dla demokracji niebezpieczeństwo. Nie ulegało wątpliwości, że zamierza on zagarnąć między innymi Szwecję — prawdopodobnie po spodziewanym zwycięstwie nad Związkiem Sowieckim — kiedy przyszedłoby mu to być najmniejszej trudności. Szwecja zaś nie tylko przesuwała wojska niemieckie do bratniej i równie demokratycznej Norwegii, umożliwiając jej podbój, nie tylko pracowała w czasie wojny dla przemysłu wojennego Niemiec, ale pracowała całą siłą swego potężnego przemysłu tak, jak nie pracuje dla siebie. Kiedy robotnikom szwedzkim mówi się, że pracują w sposób niezwykle wygodny i niefraszylowy — i gdy porównuje się to z pracą w Polsce, gdzie wszyscy oddajemy pracę i odbudowie wszystkie siły — odpowiadają z dumą: „O, my w czasie wojny też pracowaliśmy dzień i noc — Niemcy dawali nam obrzwyłne zamówienia, które trzeba było pilnie wykonać”. Aż zgroza bierze na myśl, że w czasie, gdy hordy niemieckie zbliżyły się do Moskwy, gdy może decydowała się na długie wieki przyszłość nie tylko Szwecji ale całej Europy, klasa robotnicza demokratycznej Szwecji całą siłą pracowała, kujał oraz dla Niemiec, choć wiedzieli ci ludzie, że oni sami są zaraz w najbliższej kolej. Robotnicy francuscy ogłaszają obecnie strajki protestacyjne przeciw gen. Franco, robotnicy amerykańscy, czy australijski strajkują, by nie ładować uzbrojenia na Jawę — a w czasie wojny nie wybuchł w Szwecji nie tylko żaden strajk przeciw produkcji uzbrojenia dla największego wroga demokracji, ale robotnicy szwedzcy chlubią się, że dzień i noc pracowali dla Hitlera.

Oto jest cena, jaka przekupieni robotnicy szwedzcy zapłacili swoim i obcym kapitalistom za 4-pokojowe mieszkania.

Tym razem Szwecję uratowało zwycięstwo Związku Sowieckiego, zwycięstwo uzyskane nie tylko bez pomocy klasy robotniczej Szwecji, ale nawet wbrew niej. Można by powiedzieć, że Szwecji się udało.

I tu nie sposób obronić się przed pewnymi refleksjami. Faszizm, jako zjawisko społeczne, nie jest zjawiskiem jednorazowym. Bardzo możliwe, że jest forma rządów, do której monopolistyczny kapitał musi się uciec w swym ostatnim i najostrzejszym stadium walke z klasą robotniczą — w każdym razie wiele za tym przemawia.

Może powstać faszizm potężniejszy od niemieckiego — i trudniejszy od niego do zwyciężenia. Istnieje obawa, że klasa robotnicza Szwecji ze swoimi żółtkami, przerwami w pracy na śniadania i obiady i 4-pokojowymi mieszkaniami może wobec niego stanąć bardziej bezbronna, niż klasa robotnicza najbardziej zacołanego kraju, tak, jak stanęła bezbronna wobec faszyzmu niemieckiego, wskutek tego, że dała się przekupić swym kapitalistom za część ich nadwartości z zagranicy i dała się odciągnąć od problemów polityczno-ustrojowych do problemów jedynie ekonomicznych.

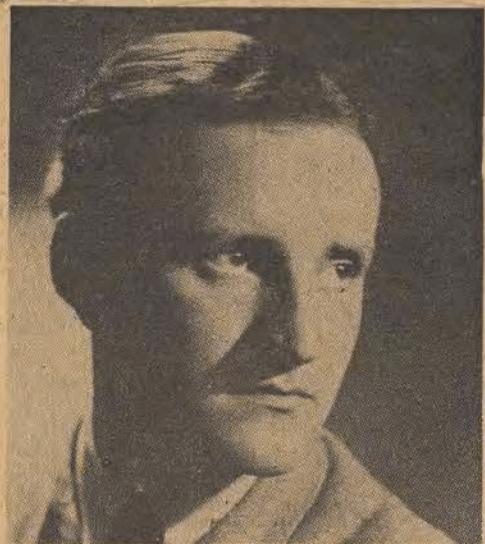
Rozpoczął się druk pierwszego tomu

„PSYCHOLOGII OGÓLNEJ”

KS. d-ra JÓZEFA PASTUSZKI,

profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W prenumeracie tom kosztuje 280 zł (wraz z przesyłką 300 zł). Po zamknięciu prenumeraty dnia 31 lipca 1946 r. będzie kosztował 450—zł. Prenumeratę przyjmuje Katolicki Uniwersytet Lubelski — Dział Wydawnictw — Lublin, Al. Racławickie 14. Prenumeratę należy wpłacać dopiero po otrzymaniu osobistego wezwania i blankietu P. K. O.

ZARZĄD TOWARZYSTWA NAUKOWEGO K. U. L.



Stanisław Dygat, autor „Jezióra Bodeńskiego” z którego recenzje ukazały się w poprzednim (22) numerze „Kuźnicy”.

Książka o stosunkach polsko-rosyjskich

Do ostatnich prawie czasów wszelkie próby opracowania stosunków polsko-rosyjskich natrafiały na nieprzezwyciężone trudności. O pracy historyków decydują często nie zainteresowania tematem, lecz możliwość dostępu i wykorzystania potrzebnych materiałów. Otóż archiwa rosyjskie były dla historyków polskich zamknięte. Tylko nielicznym szczęśliwcom udało się dotrzeć do tych skarbnic ukrytej wiedzy. Z drugiej strony i uczeni rosyjscy nie wykorzystywali zawartości polskich archiwów i bibliotek. Z tych względów, pomimo wielkiej wagi zagadnienia Polska — Rosja, stosunki polsko-rosyjskie były do niedawnych czasów słabiej opracowane i mniej znane niż na przykład stosunki polsko-szwedzkie czy nawet polsko-węgierskie. Dopiero w ostatnich latach międzywojennych ukazało się parę wartościowych prac poświęconych tym sprawom.

Dla czytelników zachodnio-europejskich zagadnienie stosunków polsko-rosyjskich może się wydawać dziś szczególnie irracjonalne. W braku odpowiedniej literatury lukę miała wypełnić praca Edwarda Krakowskiego „Polska i Rosja” wydana w Paryżu w języku francuskim. Już sam rozmiar książki (459 str.) oraz wielka bibliografia na końcu tomu budzić musi w słabo zorientowanym czytelniku francuskim szacunek dla takiej szacownej naukowej kolubryny.

Celem książki jest — jak pisze autor w przedmowie — udowodnienie, że bez naruszenia suwerenności i bez ingerencji w sprawy wewnętrzne oba narody, polski i rosyjski, mogą się połączyć w wysiłku nad przebudową i obroną cywilizacji, które nie są im wprawdzie wspólne, ale — pokrewne.

W toku swych wywodów Krakowski roztrząsa nieraz kwestie, które czytelnik polski musiałby uznać za banalne i zbyteczne, jak np. że kultura łacińska i katolicyzm były kamieniem węgielnym życia umysłowego w Polsce. Usprawiedliwia autora chyba tylko to, że książka jest obliczona przede wszystkim na czytelnika francuskiego, dla którego podobne truizmy będą może rewelacją.

Rozdział I do V stanowią koncept historii Polski, niezły dla przeciętnego a znanego nam z ignorancji (jeśli mowa o sprawach poza francuskich) czytelnika francuskiego.

Inaczej oczywiście reaguje na to wszystko czytelnik polski, obeznany mniej więcej z tematem. Już samo pobieżne przejście bibliografii musi go nastroić nieufnie. Czegoż tam nie ma! A więc mnóstwo tytułów książek nie wiążących się tematycznie ze sprawami polsko-rosyjskimi, wiele różnych szkiców z zakresu historii literatury, dużo prac historycznych, dziś już zupełnie przestarzałych. Brak natomiast rzeczy istotnych.

Nikt nie może wymagać od autora pracy popularnej, aby sięgał do archiwów lub wykorzystywał drukowane materiały źródłowe. Autor wszakże takiej pracy obowiązany jest co najmniej uwzględnić istniejące, ważne pozycje piśmiennicze, odnoszące się do stosunków polsko-rosyjskich. A niestety, Krakowski nie zna literatury historycznej, obec mu są prace naszych najwybitniejszych znawców zagadnień wschodnich (Paskiewicz i Tomkiewicz), nie uwzględnia prac Godziszewskiego o stosunkach polsko-moskiewskich w czasach Władysława IV. Nic dziwnego więc że bez znajomości odpowiedniej literatury historycznej autor błąka się po omacku na nieznanym sobie terenie. Cała partia pracy Krakowskiego o stosunkach polsko-moskiewskich od czasów najdawniejszych do końca XVIII wieku to jedno wielkie nieporozumienie. Pełno w niej błędów i nieścisłości (np. unia lubelska 1589 zamiast 1569, Pomorze sięga do Odry?) zła data bitwy pod Grunwaldem). Streszczając historię Polski autor pomija najbardziej tu chyba istotny konflikt polsko-rosyjski. Błąd wypadła sprawa rywalizacji pomiędzy Jagiellonami a władcami Moskwy o supremację nad całą Rusią. Historia Samozwańców i udziału w niej Polski pominięta została w kilku nie mówiących zdaniach, a przecież było to źródło krwawych i długich zatargów, źródło wreszcie nienawiści, jaką w ciągu wieku żywił lud rosyjski do polskich najeźdźców. Mylnie też przedstawione zostało całe zagadnienie kozackie, zapoczątkowane powstaniem Chmielnickiego.

Sojusz polsko-rosyjski uważa autor słuszenie za nieodzowne zabezpieczenie spokojnego rozwoju cywilizacyjnego obu narodów i wzajemną gwarancję przeciwko agresji niemieckiej.

Władysław Rymkiewicz

*) Edouard Krakowski „Pologne et Russie” Robert Laffont 1945. Paris.

JAN BRZECHWA

Casus Kuthan

Był koniec roku 1943. Garska literatów miała się najróżnorodniejszych zajęć, aby ratować swą egzystencję. O zarobkowaniu piórem nie mogło być oczywiście mowy. Wypłynął wtedy niejaki Eugeniusz Kuthan, wzbogacony w czasie wojny księgarz warszawski. Nie wiedział co robić z pieniędzmi i jak je najlepiej ulokować. Zorientował się w dogodnej koniunkturze i uznał, że przyszedł odpowiedni moment na skup rękopisów. Sytuacja była dla pisarzy przymusowa. Musieli godzić się na wszelkie warunki, bo nie mieli innego wyjścia. Kuthan zrezygnował z wyzyskać ten stan rzeczy, ale starał się zachować pozorami wspaniałomyślności. Jedynych pisarzy udawało mu się przekonać, inni, robiąc dobrą minę w złej grze, podpisali cyrografy na swoją produkcję twórczą — za grosze, wypłacone im łaskawie przez Kuthana.

Inscenizując atmosferę życzliwości i przyjaźni, zawierał transakcje o charakterze typowej spekulacji wojennej.

Byłem jednym z pierwszych, którzy znaleźli się w kręgu zabiegów Kuthana. Nabył ode mnie książkę p. t. „Pan Drops i jego trupa”, którą wydał w r. 1945 w 10.000 egzemplarzy i cenę 300 zł. za egzemplarz. Łatwo obliczyć, ile powinno wynieść obecnie normalne, piętnastoprocentowe honorarium. Kuthan zapłacił mi za nią w r. 1944 zł. 13.000 chociaż zgodnie z obowiązującym w tym czasie mnożnikiem księgarskim, należało mi się co najmniej pięć razy tyle. Gdy usiłowałem wykazać mu, że transakcja jest dla mnie krzywdząca, Kuthan w przyjacielskiej rozmowie oburzał się teatralnie i twierdził, że przecież on, dobroczyńca pisarzy, z chwilą ukazania się książki napewno nie będzie upierał się przy umowie i odpowiednio honorarium wyrówna. Okazało się, że wszystkie tego rodzaju akcenty liryczne Kuthana były jedynie handlowym chwytym.

W taki sam sposób, tylko za ceny nieraz dużo niższe, „nabył” Kuthan ode mnie całą moją produkcję twórczą z okresu lat dziesięciu, wynoszącą około piętnastu pozycji wydawniczych.

Wojna skończyła się. „Pan Drops i jego trupa” został wydany i jest na wyczerpaniu, parę milionów złotych wpłynęło do kasy Kuthana.

Na wezwanie Związku Literatów, zwrócone do wydawców, aby wyrównali według słusznosci honoraria płacone w czasie okupacji, Kuthan odpowiedział milczeniem. Na list skierowany przez Związek bezpośrednio do niego, odpisał krótką impertynencję. Uchylił się od arbitrażu, proponowanego przez Związek Autorów, Kompozytorów i Wydawców. W rozmowach ze mną obiecywał, zwrócić i działać na zwłokę. Wreszcie wkroczył „na drogę prawną”, to znaczy na drogę ścisłej i bezwzględnej interpretacji umów, zawartych w warunkach oczywiście przymusowych. Okazał się przy tym wyznawcą zasady formalnej „pacta sunt servanda” w stylu

Kupca Weneckiego, a w istocie, po prostu, zwolennikiem łatwego zysku.

Rozpoczął ze mną walkę na innym również odcinku. Po prostu ignoruje mnie, jako autora, uważając moje utwory niejako za swoje własne. Nie dopuszcza mnie do poprawienia rękopisów, uniemożliwia mi dokonania korekty druku, odmawia mi prawa zabierania głosu w sprawie ilustracji. Wykazuje też zupełną pogardę dla ustawy o prawie autorskim, dla moich praw osobistych, tą ustawą zawarowanych, i w ogóle dla wszelkich zasad wypływających z pojęcia dobrych obyczajów.

Przyzwyczajony do robienia dobrych interesów w okresie wojny, Kuthan prowadzi nadal proceder nabywania praw wydawniczych za drobne sumy ryczałtowe, z czym walczy nie tylko Związek Literatów, ale również spółdzielnie wydawnicze. Wyzyskując w dalszym ciągu łatwowierność i niedoświadczenie pisarzy, stwarza Kuthan dogodne dla siebie, chociaż niezbyt godziwe, warunki konkurencji z innymi wydawcami, gardzącymi metodami tego rodzaju. Dodać jeszcze należy, iż jest on bodaj jedynym zśród księgarzy warszawskich, którego przedsiębiorstwo zostało nietknięte podczas powstania.

Taki jest obraz tego wydawcy, dla którego wysiłek i bezprawie równoznaczne są z pojęciem inicjatywy prywatnej.

Poruszam tę sprawę napozostawiając jedynie dylemat, że ma ona aspekt o wiele szerszy. Casus Kuthan — to objaw, z punktu widzenia moralnego i społecznego o tyle szkodliwy, że walkę z nim podjąć winien ogół pisarzy.

Zresztą, prócz mnie ofiarami wyzysku Kuthana padli jeszcze J. M. Rytard, S. Kuszelewska, córka Or-ota, Wł. Rymkiewicz, J. M. Szancer, T. Gronowski, Z. Jurkowski, Z. Petersowa i wielu innych.

Płacił im od 4 do 7 tysięcy złotych za powieść, po 5-6 tysięcy za kilkadziesiąt kolorowych plansz do książki, podczas gdy dziś ze sprzedaży tych dzieł czerpie dla siebie setki tysięcy złotych, a w niektórych wypadkach — miliony.

Korzystając z ustepliwosci lub nieświadomości niektórych pisarzy, udało się Kuthanowi za cenę paru tysięcy złotych zbyć ich prefezisy. Inni rozpoczęli z nim walkę, Rymkiewicz, jedynie dzięki temu, że zdołał wykręcić nadużycia Kuthana, polegające na nieodwołalnym nadbiciu egzemplarzy jego książki, uzyskał od niego pewną rekompensatę. Zresztą, wypadek Rymkiewicza nie jest odosobniony, ale nie omawiam tutaj tej sprawy, gdyż znajdzie ona swój epilog w sądzie.

Wydawcy typu Kuthana przed wojną już nie istnieli. Szeroko rozbudowana ochrona praw autorskich stała temu na przeszkodzie, a nadto zawód wydawniczy osiągnął dość wysoki poziom dojrzałości społecznej. Czas okupacji sprzyjał powstawaniu anomalii. Miejmy nadzieję, że w miarę normalizacji stosunków będzie ich coraz mniej i życie samo załatwi się z Kuthanami.



rys. Mieczysław Piotrowski

Sprawozdanie Polskiej Akademii Umiejętności

Kolejny zeszyt (Nr. 9 z listopada 1945 r.) zawiera streszczenia 14 prac. Połowa z nich są to tylko przyczynki badawcze interesujące specjalistów.

Z pozostałych prac na szczególne wyróżnienie zasługują rozprawy J. Dutkiewicza: „Funkcjonalizm współczesnych zagadnień wiedzy o sztuce” i L. Sawickiego: „Wyniki podróży w celach naukowych do ZSRR”. Obie te prace poruszają konieczność reform w zakresie organizacji i metod badań naukowych (w historii sztuki i prehistorii), aby przystosować je bardziej do potrzeb i warunków społecznych. Sawicki sformułował swe ogólne propozycje reform organizacyjnych w związku z doświadczeniami i obserwacjami poczynionymi nad organizacją nauki w ZSRR. Według Sawickiego aktualna jest dziś sprawa przebudowy naszego aparatu naukowego — jego reorganizacji, która powinna być dokonana, jeśli nauka w Polsce odrodzonej ma spełniać swoje zadanie należycie.

„Istnieje niewątpliwie duża analogia pomiędzy obecnym stanem rzeczy w dziedzinie organizacji nauki u nas i nauki radzieckiej bezpośrednio po rewolucji październikowej. Nie ma natomiast żadnej, jeżeli porównać aktualną sytuację i perspektywy rozwoju nauki u nas z obecną pozycją nauki w Państwie Radzieckim i jej możliwościami rozwoju zarówno ekstensywnego, jak intensywnego.

Nauka w ZSRR jest uznana za jeden z czynników wzrostu bogactwa narodowego, podniesienia kultury narodów oraz budowy nowego socjalistycznego społeczeństwa bezklasowego. Odpowiednio do tej roli, pozycja, jaką zajmuje w aparacie państwowym i w społeczeństwie radzieckim, jest bardzo wysoka.”

Wśród ciekawych prac historycznych wyróżnia się jeszcze rozprawa Doc. T. Seweryna: „Kryterium wzorów w badaniach pierwocin kultury”. Autor omawia tu w interesujący sposób zgodność „metod łowieckich, właściwych zwierzętom drapieżnym i tychże metod u ludzi” oraz uzasadnia wniosek „że pierwszymi nauczycielami człowieka w zakresie łowiectwa, a więc pierwocin kultury, były zwierzęta”. Autor uwydatnia przy tym różnice między łowiectwem ludzkim jako zespołem faktów kulturowych, a łowiectwem zwierząt, które nie są zdolne do tworzenia faktów „kulturalnych”. Podkreśla tu mowę „Jako środek obiektywizacji społecznej zdobył techniczny”.

Z pracy A. Krzyżanowskiego został zamieszczony tylko fragment tytułu: „Przewidywania polityczne a rzeczywistość”. Rozprawa odczytana była w Akademii w jesieni 1945 r. Druk sprawozdań przypadł na wiosnę 1946 r. Czyżby po tak krótkim czasie nie warto już było drukować konfrontacji krakowskich przewidywań politycznych z polską rzeczywistością?

Badania literackie reprezentuje Adam Bar pracą: „Twórczość N. Zmichowskiej”, w której mówi o całkowitej zależności jej dorobku literackiego od jej przeżyć osobistych. Dowodzi tego ma pamiętnik autorki oraz „głębsza analiza jej psychiki” i „uwzględnienie tak wykrzytych dyspozycji psychicznych w tworzywie literackim. Autor nie zdradza tajemnicy co właściwie głębiej analizował, gdy mówi o „głębszej analizie psychiki” zmarłej od przeszło 50 lat kobiety.

Drugą rozprawą literacką jest obszerna informacja o pożytecznej bibliografii L. Simona p. t. „Polska literatura dramatyczna od połowy w. 18-go do czasów współczesnych” — Dzieło to ogarnia po raz pierwszy całą polską literaturę dramatyczną nowszych czasów. Daje to ponad 2900 haseł imiennych i około 1000 tytułów.

Teoretycznie najciekawiej i najszerzej pojęta jest oryginalna praca St. Szumana „O psychicznym przystosowaniu i nieprzystosowaniu człowieka do rzeczywistości”. Fragmenty przygotowawcze zamkniętej tu teorii ogłaszał prof. Szuman częściowo już od 1928 r.

Autor omawia najpierw przystosowanie biologiczne i psychiczne na stopniu biologicznym u zwierząt, przystosowanie do życia w swoim środowisku.”

Następnie omawia fakt, że w psychice człowieka — rozwojowo — coraz silniej — funkcja przystosowania schodzi na plan drugi, a pojawia się nowa funkcja, nowe zadania czynności psychicznych, natury emocjonalnej i kognitywnej. U człowieka następuje t. zw. „rozpad instynktów”, który stoi u podstaw tej przemiany funkcjonalnej”. Następnie dezadaptacja psychiki człowieczej na skutek powyższych zmian funkcjonalnych. Zjawia się „głód poznawczy” i „głód szczęścia”. Autor z kolei przechodzi do analizy faktów readaptacji psychiki ludzkiej do istnienia. „Utrata stanu osiągniętej adaptacji jest motywem dążenia do osiągnięcia nowego szczebla przystosowania”. Jedną z form pozornej readaptacji jest samookłamywanie, drugą zaś procesy rzeczywistej readaptacji poprzez znajdowanie nasycenia psychicznego i równowagi w przeżywaniu różnych społecznych treści ideologicznych (jak sztuka, religia, filozofia). Autor jest zdania, że źródłem takich przeżyć psychicznych mogą być tylko niektóre treści ideologiczne, mianowicie o wyraźnie afirmatywnym, optymistycznym charakterze.

PRZEGLĄD PRASY

Wzrastająca z tygodnia na tydzień ilość pism periodycznych w kraju każe nam się zastanowić nad tym, czy pisma te spełniają swoje zadanie. Jednocześnie należy podkreślić, że nowopowstające pisma, tygodniki lub miesięczniki to prawie wyłącznie pisma zajmujące się literaturą i zagadnieniami społecznymi widzianymi przez pryzmat literatury. Rządziej natomiast, niestety, powstają pisma naukowe i to nie tylko poświęcone jednej dyscyplinie, ale chociażby popularizujące zagadnienia nauki. Wyjątek stanowią doskonale redagowane i z graficznego punktu widzenia bardzo reprezentacyjne „Problemy”. Z tym większym uznaniem pragniemy odnotować w naszym przeglądzie prasy kolejne numery pism specjalnych, jakimi są: poświęcony kulturze antycznej „Meander” i jedyne obecnie pismo językoznawcze „Język Polski”.

W nr. 4 „Meandra” znajdujemy zakończone eseju Wojciecha Mole „Czytając Homera”. Essay ten nie próbuje sięgać do głębi wielkich homerowskich eposów. Autor wskazuje nam przede wszystkim ich humanistyczną treść, ich ściśle powiązanie z życiem ówczesnych Greków. Jakkolwiek nie analityczny i nie przynosi żadnych nowych odkryć, essay Mole, zwłaszcza obecnie, gdy znajomość realiów klasycznych zanika coraz bardziej, jest niewątpliwie pożyteczny, choćby jako przypomnienie rzeczy najprostszych, ale ważnych.

W zakończeniu swego artykułu „Nie myślmy pierwsz!” o którym wspominaliśmy już w jednym z poprzednich przeglądów prasy, Gustaw Przychocki na podstawie oficjalnie przytoczonych przez siebie danych z zakresu kultury starożytności usiłuje przeprowadzić tezę, że w dziedzinie kultury materialnej i kultury duchowej nasładowujemy i wzorujemy się na antyku. Wydaje się nam, że niewątpliwie rozwój nauk przyrodniczych od czasów starożytnych miał przebieg jakiegoś wpływu na kształtowanie się naszych pojęć o świecie, zaś rozwój kultury materialnej i zależnej w wielkiej mierze od niej kultury duchowej podporządkował się tym wielkim zmianom, które nastąpiły w strukturze społeczeństw od czasów antycznych. Dlatego też, nie przecząc, że korzystamy ze wzorów i tradycji antycznych, sprzeciw się musimy tej próbie całkowitego sprowadzenia nas do roli naśladowców starożytnych. Teza autora artykułu nie wytrzymałaby zupełnie krytyki w momencie próby wyprowadzenia antycznych genealogii konkretnych pojęć z zakresu polityki. Te bowiem („demokracja”) w każdej epoce mają inną treść faktyczną.

Numer zamyka przekład „Tragedii Zeusa Lukiana z Samosaty dokonany przez Władysława Madydę i Jerzego Ptaszyńskiego. „Meander” w każdym numerze przynosi przekłady utworów pisarzy starożytnych i wydaje się nam, że to pozycje, wobec powszechnego braku zainteresowań dla literatury klasycznej, należy szczególnie podkreślić.

„Język polski” za marzec — kwiecień bieżącego roku nie ustrzegł się polityki. Przyznajemy bowiem bardzo interesującą rozprawkę Zenona Klemensiewicza, w której autor rozważa „poczynając się zmianę obyczajów językowego”; zamiana formy „pan” formą „obywatel”. Autor rozprawki nie przewiduje, by forma „obywatel” miała się utrzymać, przede wszystkim dlatego, że forma „pan” jest dużo starsza, poza tym — krótsza. Jednakże dla formy „obywatel” przewiduje również pewne możliwości. Dla nas interesujące zwłaszcza będą te partie rozprawki w których autor-filolog udowadnia, że „pan” stracił swój odcień wyższości; „w tym fakcie szerzenia się wyrazu „pan” stwierdzić należy zarazem językowo — towarzyski objaw demokratyzacji po przez swoistą nobilitację, ponieważ każdy zyskuje prawo do tytułu, który niegdyś wybrany tylko przysługiwał”.

Chociaż autor nie rozstrzyga ostatecznie sprawy, pozostawiając to „życiu, które niesie w sobie tyle, dziwnych nieraz niespodzianek” artykuł ten czytamy z dużą satysfakcją. Świadczy on bowiem o tym, że nawet filologia potrafi nieraz o politykę, że nawet uczone filolog miewa swoje sympatie i antypatie i, co ważniejsze, że „Język Polski” jest pismem żywym i interesuje się językiem żywym. Powracając do sprawy wzrastającej ilości pism periodycznych, musimy zwrócić uwagę na to, że większość tych pism obecnie to tak zwane pisma regionalne. Sprawa pism regionalnych jest dość skomplikowana, działaniem ich bowiem może być dwojakie: pozytywne i szkodliwe. Związane jest niestety z tym pisma obsługujące jakieś większe polacie kra-

W poprzednim (22) numerze „Kuznicy” z dnia 10 czerwca 1946 r.: Kazimierz Brandys: Na wrocławski zjazd. — Zygmunt Mysłakowski: Zbudować nowoczesne państwo. — Julia Hartwig: Elegia imaginacyjna. Źródło. Reportaż wiosenny. — Henryk Elle: Senat w konstytucjach polskich. — Wanda Litauer: Zagadnienie efilacji. — Mieczysław Porębski: O sztuce malarstwa. — K. W. Zawodziński: Wciąż ta sama „Stara Baśń”. — Zofia Kamieniecka: Jak powstały odbili więźniów z Pawiaka i „Gęsiówki”. Żłk: Sprawozdania Polskiej Akademii Umiejętności. — Ryszard Matuzewski: Powieść o wielkiej iluzji. — Kazimierz Brandys: O książce Dygata. — Edward Csato: Przewodnik po ścianie barbarzyństwa. — Władysław Broniewski: Przedmowa do „Antysemityzmu, z przekonania” Julia Bendy. — Ewa Korzeniewska: Kronika zagraniczna. — ph: Przegląd prasy. — Noty. — Korespondencja. —

Z TEATRU

„Produkcja Pana Brandta”

Sztuka w 3 aktach J. Rojewskiego w Teatrze Kameralnym

Teatr w Polsce przeżywa dziś kryzys, który niełatwo będzie mu przezwyciężyć. Główną przyczynę tego kryzysu należałoby chyba upatrywać w upartym i despotycznym pielegnowaniu przez starych rutyńczy form zdawkowych, przejrzałych, które nie rymują się w żaden sposób, żadnym nawet asonansem czy dysonansem, ze strofami, jakie wypisuje dziś Historia. Sprawa jest przykra, drażliwa i niebezpieczna. Rutyńczy nie ustąpią tak łatwo. Walka toczy się o ich byt. Są zmęczeni, zrezygnowani i spragnieni fruktów życia, które same spadają z zasadzonego w młodości drzewa. Drzew nowych sadzić nie myślą. Już im się nie chce i nie potrafią. Są w ogromnej większości, mają niestety za sobą masę odbiorców, zawsze niechętnie dla trudu odfryzowania nowych formułek, i choć zjadają się między sobą kasają, zawsze stana solidarnie razem przeciw każdej próbie reform i unowocześnienia teatralnej sztuki.

Wielka „bitwa o teatr w Polsce”, jaka zapewne rozegra się u nas niezadługo, toczyć się będzie głównie między tymi to „rutyńczykami” a nieliczną grupą „sprawiedliwych”, którzy jeszcze przed wojną uprawiali na tym polu trudną i niewdzięczną partyzantkę.

Skutki rocznej dyktatury „rutyńczy” są przeraźliwie żałosne. — Nieliczne wypadki, w których doszedł do głosu, któryś z „sprawiedliwych” i ukazał nam na moment złudną wizję prawdziwego teatru, nie zdołali uratować teatralnej Sodymy i Gomory. Teatr, blaknąc się między t. zw. „kasą” a tęsknotą za „spokojną starością”, powoli zasypia i trzeba będzie dobrać nielada krzyku, aby go zbudzić. Jest to tym bardziej żałosne, że mamy tak wielu zdolnych aktorów, zarówno młodych jak i starszych, którzy, walcząc się pośród tych przestarzałych i zdawkowych form, mogą łatwo zgorznieć, zniechęcić się i powoli rezygnować z poszukiwań nowego aktorskiego wyrazu na rzecz rutyny i prostego rzemiosła.

Przy rocznym bilansie teatru nie byłoby sposobu wykreślić się od omówienia teatralnej działalności autorów. Niestety i tutaj rzecz przedstawia się dość żałosnie. Widzieliśmy premiery polskie, lepsze i gorsze, ale żadnej, która by w jakiś sposób wpłynęła na konkretyzowanie się u nas jednolitego i odpowiednio nowego stylu polskiego teatru. Sądzę, że w dużej mierze winnym jest tu znowu teatr. Autor dramatyczny jest w niemałym stopniu zdeterminowany ogólnymi warunkami artystycznymi teatru i czuje pod świadomością, a nawet może i świadomie, że jakikolwiek styl nadaby swojemu dziełu, — teatr, który jest ostateczną tego dzieła instancją spreparuje je na sposób sobie dogodny. Więc i autor dzisiejszy pozostaje w tym zaczerpniętym kregu miernoty, który więzi ludzi zdolnych, często utalentowanych i zmusza ich do robienia artystycznych fałszów.

Sprawa więc wyglądałaby tak: mamy zły teatr i zły sztukę i jakoś się nie zanoszą na to, żeby w najbliższym czasie stan ten miał się odmienić. Cóż uczynić? Zaplać, czy machnąć ręką i przestać się tą sprawą zajmować? Myślę, że uczynimy najlepiej, jeśli ten stan rzeczy zaaprobujemy, zaaprobujemy w sensie potraktowania go jako punktu wyjścia

dla rozsądnej, pozbawionej zadrażeń i osobistych przekonań krytyki. W ten sposób, rozbijając krąg miernoty od wewnątrz, przebijemy chyba na koniec jego oporne ściany i nasi aktorzy, autorzy i inni pracownicy teatru rozwijając będą swobodnie swoje niezapreczone talenty w wolnej przestrzeni nieograniczonej możliwości Sztuki i stworzą wreszcie właściwy a nowy wyraz Polskiego Teatru.

Teatrowi Domu Żołnierza zwanemu Kameralnym należy się wiele słów uznania za zrozumienie dla tych problemów. Fakt, iż wystawiła jedną po drugiej premierę polską cyniżem żeni placówkę pożyteczną i godną jak najgorętszego poparcia.

„Produkcja Pana Brandta” Rojewskiego jest typowym debiutem autora, o którym można powiedzieć, że nie przypadkiem zetknął się z teatrem. Sztuka teatralna jest bodaj najtrudniejszą z gatunków literackich. Wymaga wiedzy teatralnej, specjalnej techniki, której nauczyć się można jedynie mozną praktyką i konfrontacją swoich zamiarów z prawami sceny. W prozie łatwo jest pokryć czy zatrzeć niedociągnięcia konstrukcji, akrobatykę stylu, czy zonglerkę metafor. Teatr, gdzie opis działania i w pewnej mierze komentarz realizowany jest działaniem żywym, demaskuje i wymaga każdy najdrobniejszy błąd uwydatnia każde przeoczenie i niezręczność. Możliwość, jaką ma widz, skonfrontowania przebiegu fikcji przywołanej do życia teatralnym przedstawieniem z wzorami życia prawdziwego, wymaga od autora dramatycznego szczególnej przezorności i szczególnej ostrości widzenia. Ta ostrość widzenia życia nie zawsze się pokrywa z ostrością widzenia sceny. Autor dramatyczny muatuty i obnażył słabości, które napewno przeniesienia” życia na scenę, a wynaleźć go już w pierwszej sztuce jest niemal niepodobniństwem. Można go najwyżej mniej lub bardziej udanie tropić. Rojewski jest napewno w tym poszukiwaniu na dobrej drodze. W debiucie swoim odsłonił wszystkie swoje atuty i obnażył słabości, które napewno przewyżczy w następnych sztukach. Błyskotliwy dialog, inteligentny i wartki, jest jego stroną silniejszą, niż stawianie postaci, wprowadzania ich na scenę i ustawianie w sytuacjach. Są one nieco chwiejne, ich charakter i styl umykają świadomości widza, za mało mają barwy i rysunku. Reżyseria dość niefortunnie skierowała punkt ciężkości właśnie na sytuację i charakter zamiast uwyppuklić dialog, który — czestokroć ginał i zacięła się w ważnych dla sztuki akcentach. Stało się to z równą szkoda dla autora jak i aktorów, którzy niejednokrotnie, nie dowiedziawszy się ani od autora ani od reżysera kim są i skąd mają czerpać swój psychologiczny rodowód, szamotali się bezsilnie, nie znajdując w tekście pokrycia dla działania, albo platając się w sprzecznościach. Należało więc śceniować wszystko to co toczy prywatnych spraw bohaterów a uwydatniać wnioski ogólne i syntetyczne charakterystyki ludzi i stosunków społecznych. To doprowadziłoby może sztukę do granic groteski, nadałoby postaciom ton marionetkowości, ale rzecz taka właśnie usprawiedliwiła i obroniła pozorze i istotne sztuki niedociągnięcia.

Stanisław Dygat

Co to jest „kataryniarstwo”?

W rezenzjach i artykułach traktujących o poezji pojawia się od czasu do czasu słówko: kataryniarstwo. Ponieważ, jak wszelki skrót pojęciowy, jak wszelkie grube uproszczenie, słówko to gotowe jest zrobić karierę, przeto należy określić mu łeb, — zanim zdoła poczynić poważniejsze spustoszenia w umysłach młodych (pozakrakowskich) poetów.

Termin „kataryniarstwo” ma piętnować i przyciskać wszystko, co jest ujęte w karby regularnej strofy i klasycznego metrum. Odnosi się wrażenie, że jest to zarzut ściśle formalistyczny i techniczny, czyhający na każdy wiersz, bez względu na jego zawartość, zbudowany z regularnych strof i oparty na regularnej prozodii. Jak bowiem głośzą słuchy dochodzące z Krakowa, ostatnio obwołany tam został kataryniarzem — Aragon, autor „Diane Française”.

Przyjrzyjmy się poecie pogroboców krakowskiej awangardy. Jest to nic innego, tylko „wolny wiersz”, potomek w prostej linii „vers libre’u” symbolistów francuskich (Viéla-Griffin, Gustave Kahn, Henri de Régnier), a więc techniki poetyckiej przejętej około roku 1910 przez różne kielkujące wówczas ugrupowania nowatorskie. Uprawiali vers-libre poeci z grupy „L’Abbaye” (Duhamel, Vildrac), unaniści Romains, Chemnévière, później, w latach wojny, modernisci Larbaud-Barnabooth, Cendrars („Kodak”), Morand („Lampes à arc”). W rękach Apollinaire’a, Maxa Jacoba i poetów z ulicy Ravignan’u „vers-libre” dynamizuje się, wzbogaćca juxta pozycją, wieloplanowością, abstrakcyjną metaforą, aso-dysonansem, prozaizmem (t. zn. kultura zdania).

Claudel rozbudowuje go na modłę wersetu biblijnego, Fargue i Supervielle doprowadzają go do granic „poezji prozą”. Wreszcie surrealiści pierwszego rzutu, Aragon i Soupault (19 poematów), Reverdy, Ribemont-Dessaignes, Raul Dermée, Celine Arnaud, zagarniają

go, aby uczynić zeń narzędzie „pisma automatycznego”, to znaczy — tak go rozprzężyć i udolnowić, aby mógł stać się najbardziej podatnym wyrazem potoku świadomości.

W Polsce „wolny wiersz” łąduje, w latach dwudziestych, na łamach „Zwrotnicy”.

Nie znaczy to, aby przed „Zwrotnicą” i poza nią nie pisano u nas wolnym wierszem. Używali go Słonimski („Wieża Babel”, „Okno w oko”), Wittlin („Hymny”), ekspresjonści z poznańskiego „Zdroju”. Adam Ważyk napisał w tej manierze parę kapitalnych rzeczy (że wymienię „Hiacynt”). Ale gościnie niejako programową znajduje ta forma w „Zwrotnicy”.

Podczas jednak gdy we Francji, w latach trzydziestych, zaznacza się wyraźna reakcja przeciw wolnemu wierszowi; podczas gdy surrealiści drugiego rzutu (Charles Hugnet, Desnos, „Audiberti”) wracają do strofy, która odpowiada nie jest klasyczną zwrotką parnasistów, lecz strofą odkształconą, wyposażoną w pewne cechy vers-libre’u; podczas gdy u nas poawangardowe pokolenie „Kwadrzygi” i późniejsze nawiązują manifestacyjnie do form tradycyjnych — zapóźnieni awangardziści krakowscy trwają niezachwianie na pozycji „wolnego wiersza”. I twiją na niej po dziś dzień.

Czym się tłumaczy wzlot vers-libre’u w latach po tamtej wojnie? Ogólnie rzecz biorąc (bo nie miejsce tu na szczegółowe rozwinięcia), poezja owych lat była, niezależnie od różności tworzących ją „izmów”, poezją sensualistyczną i barokową. Na środki jej wyrazu składały się właściwie: opis i naracja, kształtowane wedle kompozycyjnych zasad impresjonizmu. Otóż tej metodyce formalnej odpowiadał najlepiej instrument vers-libre’u z jego swobodą toku, płynnością metryczną i kompozycyjnym luzem. Aby pozostać w zakresie przykładów swojskich: — czym jest przeciętny tak zwany wiersz awan-

gardowy? Albo pejzażem zewnętrznym, pojmovanym jako wynekł chaosu, moment rzeczywistości zastanej; albo pejzażem psychicznym, état d’ame; często i jednym i drugim.

Albo poezja dzisiejsza nie jest poezją opisową. Wydaje mi się, że wchodzimy w okres, który — czy to się komu podoba, czy nie — będzie erą poezji dyskursywnej i normatywnej. Poezja ta wolna będzie od obsesji formalizmu. Jej rygor pojęciowy pociągnie za sobą rygorystyczną strofikę i metrykę. Sądzę, że tak należy rozumieć postulowane przez Jerzego Zagórskiego „dążenie do klasyczności”. Zresztą wszystkie znaki na ziemi wskazują na to, że zmierzamy ku poezji, w której miejsce barokowego obrazowania i sensualistycznej emocji zajmie dyscyplina myśli poetyckiej i słowa o przywróconym pierwotnym sensie. Świadczy o tym poezja francuskiego Ruchu Oporu, przede wszystkim zaś nowa twórczość Eluarda, Aragona i Jouve’a. U nas — poezja Jastruna.

Z tego stanowiska spór o wersyfikację traci na wadze i znaczeniu. Wolno każdemu uprawiać i wolny wiersz, i regularną strofę, i wszelką inną formę, byle napelniał ją esencją poetyckiej treści. Pod kątem jednak rozwoju techniki poetyckiej pierwszeństwo już dzisiaj odzyskuje regularna strofa, która składniad jest najlepszym problemem rzemiosła. Stendhal nazwał kiedyś Aleksandrym: „cachet de la poésie”. O ilez bardziej na miano „schówka głupoty” zasługują wolny wiersz, ta maska grafomanów, kamuflaż nieudolności. Młodemu poecie chciałoby się powiedzieć: „Napisz wiersz regularną strofą, a powiem ci kim jesteś”.

Podobnie jak istnieje akademizm awangardy, istnieje kataryniarstwo wolnego wiersza, — tym bardziej niezdolne, że pełne przedawnionych pretensyj.

Stanisław Bruca

N O T Y

NAGRODA MAS

Many w Warszawie pierwsza ogólna wystawa malarska. Ministerstwo Kultury w związku z tym ufundowało „nagrodę mas”. Statut jej przewiduje, iż zwiedzający przez wrzucenie kartki do przygotowanej urny głosują na najlepszy obraz. Ten, który uzyska największą ilość głosów będzie nagrodzony. Związek artystów zaprzestował przeciw tej nagrodzie.

Mysle, że słusznie.

Jeśli polityka nagród — zgodnie z istniejącym obyczajem naszego życia artystycznego — ma stanowić istotny składnik naszej polityki kulturalnej, to praktyka tego rodzaju może prowadzić tylko do błędów.

Zamówienie społeczne w sztuce — nie jest po prostu wyrazem statystycznym najpopularniejszego upodobania artystycznego.

A taki naiwny sąd jest założeniem koncepcji „nagrody mas”.

Związać sztukę plastyczną z życiem i potrzebami mas można tylko przez wciągnięcie sztuki i malarzy w procesy zbiorowego działania.

Gdyby ministerstwo kultury przygotowało konkursy na celowe wyposażenie plastyczne domów kultury, świetlic, klubów fabrycznych, spełniłoby swe zadanie. Domy te i kluby muszą być najpierw zbudowane. Ale wykonanie projektów dekoracji wymaga czasu. I właśnie dzisiaj jest pora na projektowanie, gdyż jutro przyjdzie czas na realizację. Teraz więc jest czas na poszukiwania, naukę, przewidywanie starych nalogów artystycznych, celowej, dostosowanej do swego przeznaczenia dekoracji miejsce odpoczynku ludzi pracy, a nie jak dotąd prywatnych mieszkań ludzi bogatych. Lecz o wyniku tych poszukiwań musi decydować artysta.

Cel, przeznaczenie dzieła — warunkuje jego koncepcję. Ale w ostatecznej instancji artysta rozstrzyga ją jako ma być sztuka i dla niej wychowuje nowego odbiorcę.

Założeniem zaś „nagrody mas” jest przekonanie, że o typie sztuki rozstrzyga ilośćowo najpospolitszy gust. Aż wstyd, że wypływa tak stary przesąd. Tak dawno przedyskutowany. Jeśli zrodził się z „lewicowyciel” tendencji — poczytajcie Lenina.

JEDNO „NIE”

Z zamkniętych zebrań przenikała czasem plotki, NKW PSL w czasie obrad długo dyskutowało sprawę swego stosunku do jednoizbowego parlamentu. Byli skłonni zgodzić się z demokratyczną tezą jednoizbowości. Tak nakazywała dobra tradycja ruchu ludowego. Pan Mikołajczyk przeważał. NKW PSL zalecił swoim zwolennikom odpowiadać na pierwsze pytanie referendum: nie.

Dla kogo jest to „nie”? Dyskusje na omawianym posiedzeniu i cała międzywojenna tradycja ruchu ludowego mówi, że chłop raczej trudno będzie przekonać o potrzebie senatu. Lecz to „nie” p. Mikołajczyka jest na pewno łatwym środkiem zmobilizowania i skupienia przy sobie wszystkich reakcjonistów i wrogów demokracji. To dla nich PSL łamie tradycje polityczne chłopów, dla nich ustala swe koncepcje ustrojowe.

Chyba jasne?

I nie po raz pierwszy!

BEZDROŻA METAFORY

Przeglądając nr 1 dwutygodnika literacko-społecznego „Warszawa” znaleźliśmy na str. 6, kolumna 3, wiersz 23 od góry, następujące zdania, które przytaczamy niżej, prosząc jednocześnie czytelników „Warszawy” o ustalenie na podstawie analizy stylistycznej, kto jest autorem tych zdań:

„Usta jego nie bezpoślednio „pochlebity sobie”, że mogą się już odezwać. Tymi ustami literatura polska, kielkująca zresztą i setkami innych, wiosennych pędów, stwierdza dobitnie, jak wielkie moce twórcze w niej drzemają i w niej się budzą”.

Biedna ta polska literatura! Bo pomyślcie proszę: ma usta i kielkuje, stwierdza, drzemie w niej i budzi się w niej, Czy nie za dużo, jak na jedną literaturę?

NIENAWIŚĆ KLASOWA

Inteligencja nasza została wytepią w okresie okupacji. Uzupełnienie jej kadry jest podstawową potrzebą kraju i warunkiem normalizacji życia.

Dotychczas masy chłopie i robotnicze, odpychane od szkół średnich i wyższych, nie wielu wydały inteligentów. Kwalifikacje inteligentkie były niemal przywilejem dziedzicznym. Elementarnym aktem sprawiedliwości będzie stworzenie nowej inteligencji wywodzącej się w swojej większości z chłopów i robotników.

Ten, z ludzkiego punktu widzenia sprawiedliwy, a z państwowego konieczny proces szybkiego przygotowania nowej inteligencji wymaga wielu posunięć organizacyjnych, ułatwiających nowym ludziom wejście na tę drogę.

Jednym z tych aktów było uznanie świadectw nauczycieli szkół powszechnych za równoważne z maturami przy wstępowaniu na uniwersytet. Drugim, stworzenie kursu wstępnego przy uniwersytetach, gdzie młodzież bez matur mogłaby zdobyć przygoto-

wanie do właściwych studiów uniwersyteckich.

Sytuacja materialna młodzieży akademickiej jest szczególnie trudna. Nurtują w tym środowisku nastroje niezadowolone politycznego.

Nie dziwiłyby mnie manifestacje akademickie żądające stówek, burs, stypendiów. Zrozumiałbym w ustroju demokratycznym manifestacje pod takimi, czy innymi hasłami politycznymi. Ale odczułem wstret, oburzenie i gorycz, gdy dowiedziałem się, że akademicy warszawscy manifestowali przeciw tym „bezmaturcom” na uniwersytetach.

To doprawdy odsłania najbardziej reakcyjne oblicze dawnego korporacyjnego elementu, który zatrzyma nadal nasze środowiska akademickie. Ten protest przeciw wszelkim ułatwieniom dla krzywdzonych dotąd, jest niezamaskowanym aktem nienawiści klasowej, nienawiści drobniomieszczańskiego sklepikarza, który do r. 1939 pod hasłami narodowymi tepił żydowskiego konkurenta, a teraz zabrał się do konkurujących z nim młodych chłopów i robotników. Mysle, że władze nasze potrafią skończyć za zwolennikami buchalterii sklepikarskiej, poimowanej jako sztandar ideowy.

BADANIA NAUKOWE

W artykule „Badania naukowe w ocenie moralnej” (Życie literackie nr 7/8) znaleźliśmy następujące wypowiedzi:

„nieuczni i ignoranci chcą budować religię nauki, czyli poglądy na świat, wyprowadzone wyłącznie z danych, jakie może dać wiedza naukowa... W zasadzie jest tak, że kto twierdzi, iż wszystko można poznawać na jeden sposób, jedną metodą, ten namawia, by wszystkie potrawy jeść jednym sprzętem stołowym. Nie warto się oburzać na to, że ktoś chce krajać mięso łyżką, albo że chce czerpać zupę widelcem. Na pewno się przekona, że i jedno i drugie się nie uda: o grószku już powszechnie wiadomo, że przekorna szelma zeskakuje z gładkiej powierzchni noża...”

W tymże samym artykule czytamy na innym miejscu:

„Co więcej, nawet dążenia do przebudowy społecznej mogą się rodzić nie z miłości dla człowieka, lecz z hipnotycznego zapamiętania w jakąś gwiazdkę migotliwa, która ukazała wątpliwą astrologia społeczną. To wszystko jednak nie znaczy, by nie było uczonych miękkiego i czulego serca, którzy nawet w badaniach oderwanych od życia nie zapominają o Doli Człowieka i którzy tę myśl boleśnie domagającą lagodza nadzieją, że i z ich badań spłynie kiedyś jakiś zbawczy promień na olbrzymie rozległe cierpienia... Z napięciem w mózgu nie powstała krótkie spieście miłości, która rodzi się tylko dans le tréfond de notre coeur”.

Nie wątpimy, że uwagi powyższe powstały „dans le tréfond du coeur” autora, nie wątpimy, ma foi, że autor odbywa się bez „napięć w mózgu”!

PRZYPOMINAMY

W nr 14 „Odry” w rubryce „Co robią Niemcy” czytamy następujący passus:

„...zaczęliśmy na łamach „Odry” notować skrupulatnie wydarzenia, zachodzące w Niemczech, a więc odbudowa życia niemieckiego, krzepnięcie nowej sytuacji politycznej. Rozpoczęliśmy tę służbę wówczas, kiedy, pewne odłamy prasy polskiej z sympatią witały nowe tendencje polityczne i kulturalne, że wspomniemy tylko łódzką „Kuznicę”.

„Pewne odłamy prasy polskiej”, a zwłaszcza wzmiankowana „Kuznica” nie przypominają sobie, by witały nowe tendencje polityczne

i kulturalne w Niemczech, natomiast przypominają „Odrze”, jak to musiały zwracać jej uwagę na niestosowność entuzjazmu wobec osoby Stanisława Wasylewskiego, jednego z trzech polskich pisarzy — kolaborantów. (vide nota w „Kuznicy”: „Aberacje Jana Brzozy”, nr 17/45).

rde

PANNA PRZEGRÓWNA POKLEPUJE...

W nr 4 miesięcznika literacko — krytycznego „Twórczość” znajdujemy obszerną recenzję z „Lutni Puszkina”. Recenzja pióra panny Janiny Pręgorówny jest uczona i nierzadko słuszna. Ale na zakończenie czytamy takie oto zdanie, które nieopatrnie wypłynęło pannie Pręgorównie spod pióra:

„Życzyć należy pocie (Tuwimowi — przyp. -dc.) aby taka dojrzałość nie pozostała chwilą przelotną, by trwała tak w jego twórczości oryginalnej, jak w przekładach”.

Mowa tu o zasłudze Tuwima jako tłumacza Puszkina. Tuwim taskawym zdaniem panny Pręgorówny osiągnął w tych przekładach „życiową dojrzałość”, wobec czego panna Pręgorówna dojrzałości mu życzy, żeby ta dojrzałość nie pozostała tylko „przelotną chwilą”. W imieniu przybyłego do kraju Juliana Tuwima dziękujemy pannie Pręgorównie za wyrozumiały stosunek do poety i zapytujemy, gdzie to i kiedy panna Pręgorówna nauczyła się klepać po ramieniu znakomitych poetów?

rde

CUDZE CHWALICIE...

SWEGO NIE ZNACIE —

W Nr 60 „Przekroju” L. H. Morstin napisał: „...Paryż i Kraków mają wieczną młodość w sobie”.

I rzeczywiście.

awkz.

APEL DO M. S. Z.

Regularna komunikacja z krajami europejskimi ciągle u nas jest jeszcze daleka od stanu normalnego, co przy ogólnoeuropejskim stanie taboru i linii kolejowych jest zupełnie zrozumiałe.

Ale lata (tuż lata!) plyną, a polskie redakcje czasopism literackich i naukowych, polskie biblioteki i seminaria uniwersyteckie ciągle jeszcze nie mogą normalnie otrzymywać czasopism zagranicznych.

Potrzeba tych czasopism nie jest snobizmem. Kultura europejska, europejska myśl naukowa od dawna stanowi ponadnarodową jedność i rozwija się ponad granicami państwowymi. Odkrycia fizyczne dokonują się zbiorowym wysiłkiem uczonych, jednocześnie pracujących w Moskwie i Grenobli, w Kijowie i Kopenhadze.

Jeśli normalna droga handlowa, droga prenumeraty jest tak trudna — dla dobra kraju w wyjątkowych warunkach — trzeba szukać wyjątkowego wyjścia.

Wiem dobrze, że nasi attaché kulturalni przy placówkach zagranicznych, są to wysocy urzędnicy, obciążeni odpowiedzialną pracą.

Tym niemniej uważam, że jest ich obowiązkiem — zająć się sprawą czasopism zagranicznych dla ośrodków pracy i informacji kulturalnej w Polsce. Nasi attaché kulturalni — są przeważnie ludźmi: pióra. Są, że sami powinni się poczuwać do tego obowiązku.

Wobec trudności przekazywania dewiz — MSZ musi znaleźć środki w budżetach ambasad na prenumerate kilkuset czasopism dla kraju. Kilkuset w każdym z głównych języków.

Te czasopisma winny być za pośrednictwem naszych placówek dyplomatycznych przesyłane do kilkudziesięciu zaledwie odbiorców w kraju. Do paru pism literackich, kilkunastu bibliotek, kilkudziesięciu seminariów uni-

wersyteckich. Ten konieczny wydatek nie jest wielki. A dotąd skazani jesteśmy na korzystanie z przypadkowych zasobów księgarni, które zwykle mają tylko popularne raczej periodyki i prawie wyłącznie angielskie... Odciecie naszej myśli od Europy — to katastrofa, to kulturywanie polityc nie szkodliwej atmosfery zaścianka.

Wzywam do rychłego urzeczywistnienia tego projektu.

POUR EPATER... LES PAYSANS

W numerze 21 „Wsi” ob. Stefan Lichański drukuje recenzję ze wznowionego ostatnio przez Wydawnictwo Oświaty i Kultury Zw. Młodzieży Wiejskiej R.P. „Wici” „Słowa o Jakubie Szeli” Brunona Jasińskiego.

Ob. Lichański, człowiek zazwyczaj rozsądny i zrównoważony, uważa, niestety, za swego obowiązek od czasu do czasu koniecznie epatować czytelników „Wsi” jakimś oryginalnym „rewizjonistycznym” podejściem do literatury. Nikomu by to nie wadziło, gdyby przy tym ob. Lichański nie zdradzał dość dziwnego jak na publicystę „Wsi” „rewizjonizmu” społecznego.

Oto co pisze ob. Lichański o „Szeli” „...Futurystyczne bańki w zakresie metaferyki... idą w parze z żalonym prymitywizmem myślowym i artystycznym...” „...sukces swój zawdzięcza „Słowo o Jakubie Szeli” tym samym „walorom”, co owa do dziś pokoleń, ekspedientkom i panom antekarze wym ze wszystkich Papińskich lzy z oczu wyciskająca powieść (Mowa tu o „Tredowatej”). Walory te zaś to: melodramatyczność fabuły, jaskrawość tendencji, tani sentymentalizm, pretensjonalne efekciarstwo stylistyczne i ubóstwo myśli, czy — ściślej się wyrażając — zastąpienie myśli hasłkami”.

A dalej: „...warto byłoby się zastanowić, czy dzisiaj wsi tak bardzo jest potrzebna legenda rewolucyjna i liryczne agitki? By przeciw czemu miałaby się dzisiaj zwracać ta poezja buntu?”

...poezja tego typu, co „Słowo o Jakubie Szeli”, działa podobnie jak „banber”: otumania...”

W świetle ostatniej dyskusji o Szeli na łamach tejże „Wsi” wypowiedzi tu wyglądała co najmniej dziwnie, jeśli nie wręcz prowokująco.

Warto tu przypomnieć zdanie Jasińskiego z przedmowy do „Szeli”: „Gdyby nawet Szela historyczny nie istniał, to w interesie całego świata świadomości klasowej wzbogacenie kultury polskiej, należałoby go wymyślić”.

A Kazimierz Czachowski, którego nawet ob. Lichański nie może posadzić o polityczną stronniczość wobec Jasińskiego, w ten sposób pisze o „Słowie o Jakubie Szeli” w „Obrzie współczesnej literatury polskiej” w 193 roku(!):

...poemat rehabilitujący przywódcę rzekalicyjskiej... w pomysłowym i doskonale przeprowadzonym połączeniu wątków formalnych polskiej pieśni ludowej, w jednolitej kompozycji epickiej, o bardzo silnym napięciu wzruszeniowym i sugestywnej wymowie chłopskiej krzywdy... „Słowo o Jakubie Szeli” pozostało jednym ze szlendarowych utworów lewicowego frontu chłopskiego.

Jak w takim wypadku mówi przysłowia chłopskie o ob. Lichańskim? Zwyczajnie „wierza na ościenu”.

sep

ŁUKÓW TO NIE GARWOLIN

W związku ze sprostowaniem ob. Inspektora Szkolnego pow. garwolińskiego w sprawie notatki naszej p.t. „Prehistoria”, wyjaśniamy, że w Nr 126 „Głosu Ludu” wydrukowany został list Kuratorium Szkolnego Okręgu Lubelskiego, potwierdzający całkowicie treść naszej notatki, przy czym Kuratorium zamunikowało, że kierownik szkoły w Hucie Starej, pow. łukowskiego, ze względu na stwierdzoną w jego postępowaniu „głupotę (sic!), zwolniony został ze stanowiska.

Jak wynika z zestawienia treści sprostowania z brzmieniem listu Kuratorium Lubelskiego, istnieją dwie Stare Huty w niedalokim sąsiedztwie, jedna w pow. łukowskim — druga — w garwolińskim. W notatce naszej popełniliśmy nieścisłość topograficzną, przepisując to, co się działo w szkole Starej Huty łukowskiej, kierownictwu szkoły w Starej Hucie garwolińskiej. Bardzo się cieszymy, że personel nauczycielski tej ostatniej ujawnia zainteresowań „prehistorycznych” i mamy nadzieję, że o tego rodzaju osobliwościach, jak portrety p. Mościckiego na ścianach szkół polskich w r. 1946, nie wypadnie nam już w ogóle pisać więcej.

bd

Czytajcie i prenumerujcie

„KUŹNICĘ”

PAŃSTWOWE ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU PIWOWARSKO-SŁODOWNICZEGO

podległe Ministerstwu Apropowizacji i Handlu, Rejon Krakowski w Krakowie, ul. Kopernika 6, tel. 566-98

Rachunek czekowy w B. G. K. Nr 340 oraz P. K. O. Nr IV-1055

Zrzesza browary:

Okocim, Żywiec, Kraków, Grybów, Zarszyn, Tarnobrzeg oraz słodownię w Tarnowie

Produkuje piwa jasne 7° i 9°. Znany z dobroci porter 22° i piwo ciemne 15° z Browarów Okocimskiego i Żywieckiego ukażą się wkrótce w sprzedaży.

CENY OGŁOSZEŃ: Półna 12 60.000; 1/2 kolumny 12 30.000; 1/4 kolumny 12 15.000; 1/8 kolumny 12 8.000 1/16 kolumny 12 5.000; Drobnie ogłoszenia 25 zł min na 1 szpalcie

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Zółkiewski.

Redaktor naczelny przyjmuje wtoraki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-41

D-09644

Wydawca: Zespół „Kuznicy”; — Drukarnia

Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Żwirki 2.